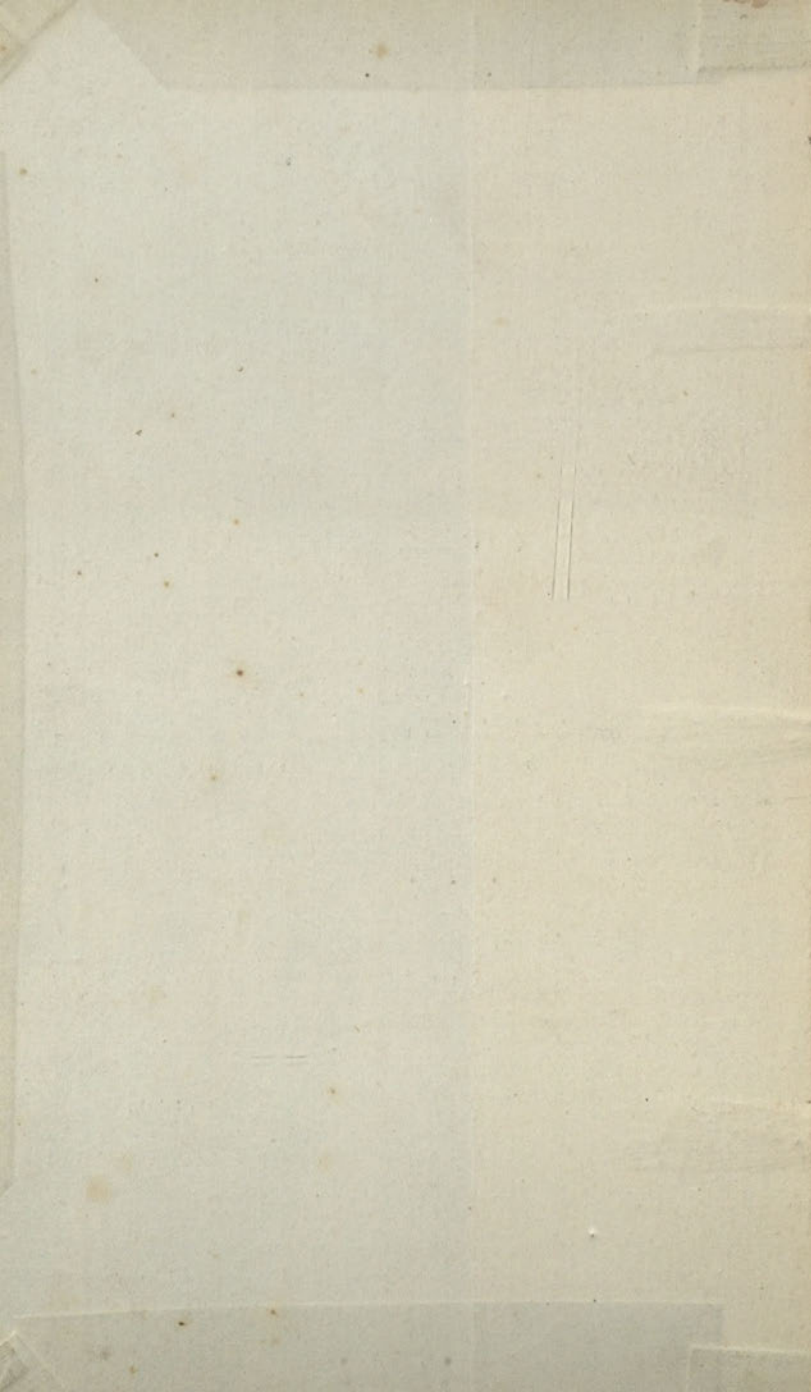


**12 613**



206





OBRAZY  
ZIEM, LUDÓW I OKOLIC.

PODŁUG RÓŻNYCH AUTORÓW OPRACOWAŁ

FR. XAW. TUCZYŃSKI.



*CZEŚĆ DRUGA.*

W POZNANIU.  
CZCIONKAMI I W KOMISIE W. SIMONA.  
1879.



12.613 (2)

5556474 N-474955

## Przygoda wśród polowania na kaczki.

Z pomiędzy niezliczonych prawie gatunków dzikich kaczek w Ameryce, kaczka *Canevas* jest najsłynniejszą, Mięso jój nadzwyczaj smaczne, tak iż je na równi kładą z mięsem ortolana i kuropatwy stepowej. Mieszkańcy wielkich miast, położonych nad Oceanem Atlantyckim, uważają mięso téj kaczki za jeden z najlepszych przysmaczków. Kaczka *Canevas* nie jest wielkim ptakiem, i rzadko waży więcej, jak trzy funty. Podobna jest zresztą dzikiej kacze europejskiej; głowa ciemno-szara, pierś czarna, na wiérczu i na skrzydłach jest zielonawo-szara. *Canevas*, podobnie jak większa nieomal część wodnych ptaków amerykańskich należy do ptaków przelotnych. Na wiosnę przenosi się w zimniejsze strony odnogi Hudsonskiej, zkąd w Październiku powraca ku południowi w niezliczonych stadach wzdłuż brzegów Oceanu Atlantyckiego. Nie rozprasa się ona po ogromnych jeziorach Stanów Zjednoczonych, lecz zatrzymuje się na trzech lub czterech tylko punktach, z których odnoga Chesapeak (czyt. Szezapik) jest najmilszym miejscem jój pobytu; tutaj bowiem znajduje w obfitości swój najulubieńszy pokarm.

Naokoło ujść rzék do odnóg morskich wiele jest mielizn, których stojąca woda przyczynia się do wzrostu rośliny z rodzaju *Valisneryi*. Roślina ta, o zielonych liściach i łodygach, ma biały, delikatny korzeń, smaku selery, a ponieważ kaczka *Canevas* tym korze-



niem się żywi, przeto tylko tam napotkać ją można, gdzie tak nazwana *dzika selera* rośnie. Kaczka Canevas zanurza się, wydobywa dzióbem ten korzeń, odłamuje liście, które znowu, albo inne gatunki kaczek pozérają, albo téż masami nad brzegiem odnóg się gromadzą.

Otóż korzeń téj dzikiéj selery daje ów wyborny smak mięsu kaczki; mięso to tak jest poszukiwane, że na targach w Nowym Jorku i Filadelfii para takich kaczek nieraz i cztery talary kosztuje. Nic więc dziwnego, że polowanie na kaczki Canevas nie tylko miłą jest rozrywką, ale i znaczny dochód przynosi myśliwemu. Ponieważ zaś te kaczki są nadzwyczaj płochy, dla tego wielkiéj potrzeba przebiegłości, ażeby podejść je blisko na strzał. Prócz tego umieją doskonale pływać pod wodą, dla tego z łatwością ratują się, płynąc nurkiem dla strzelca niewidzialnie.

Wszakże jedna okoliczność przychodzi myśliwemu w pomoc, a nią jest niezmierna ciekawość kaczek, która bierze górę nad ich płochością i ostrożnością. Pies dobrze wyuczony, tu i tam biegający nad brzegami odnogi, gdzie się te kaczki znajdują, prawie zawsze zwabi je tak blisko do brzegu, że można wygodnie do nich strzelać. Gdyby zaś to nie miało pomódz, to trzeba tylko kawałek czerwonej szmaty psu u szyi lub u ogona zawiesić, a kaczki z pewnością nie będą się mogły oprzeć swojej ciekawości. Lecz w czasie, gdy wszędy je płoszą, i ten środek nie wiele pomoże.

Od kilku dni (opowiada pewien strzelec amerykański) bawiłem w domu osadnika, mieszkającego nad ujściem rzeczki, wpadającej do odnogi Chesapeake. Pragnąłem już oddawna popróbować szczęścia na polowaniu na kaczki Canevas, które już nieraz smaczno przyrządzone zajadałem, ale których jeszcze nigdy nie strzelałem, a nawet nie widziałem żywych. Pewnego poranku wybrałem się przeto z domu, chcąc spróbować, czy mi nie uda się ubić kilka tych ostróżnych i pło-



chych ptaków. Przyjaciel mój mieszkał o dobrą milę od ujścia rzeczki do odnogi, musiałem przeto popłynąć tamdotąd, gdzie rośnie dzika selera, gdzie więc można było kaczki znaleźć. Płynąłem sobie w małym czółenku i za towarzysza miałem tylko brzydkie psisko, które mi przyjaciel kazał wziąć z sobą, oświadczając, że mi niemałą odda na tej wyprawie przysługę.

Przyjaciel mój, będąc zatrudniony domowem gospodarstwem, nie mógł tego dnia wziąć udziału razem ze mną w tém polowaniu, lecz znając dokładnie miejsce pobytu kaczek, tudzież obeznany mniej więcej ze wszystkimi sposobami łatwego zbliżenia się o nich, nie wątpiłem, że i bez niego wszystko mi się uda pomyślnie. Wkrótce zobaczyłem zatokę wśród pól zarosłych dziką selerą, a na niej stada rozmaitych ptaków wodnych, między któremi dzikie kaczki Canevas i pospolitą amerykańską czerwonoszyjkę łatwo mogłem rozpoznać. W bliskości ujścia rzeczki znalazłem miejsce stósowne do przybicia do lądu; przywiązałem więc łódkę mocno do krzaku i poszukałem sobie dobrego stanowiska.

Zająwszy tedy wśród krzaków odpowiednie do tego miejsce, dałem psu znak, ażeby pokazał teraz co umie. Lecz pies nie chciał jakoś wcale uważać na moje słowa i znaki. Nie wiem, czy mi się to tylko tak zdawało, dość że pies ten wyglądał dziko i jakoby był przestraszony, — co przypisywałem temu, iż mnie nie znał. Spodziwiałem się, że ta nieśmiałość jego ku mnie wnet minie, lecz zawiodłem się w nadziei, albowiem mimo wszystkich prób i usiłowań pies ani do wody wniść, ani nad brzegiem biegać nie chciał. Owszem niedaleko od mego stanowiska wcisnął się pomiędzy krzaki, nie myśląc wcale już wyjść ztamtąd. Wyciągnąłem go dwa, czy trzy razy z tej kryjówki, wskazałem mu ręką, żeby szedł we wodę, lecz pies znowu czémprędzej wracał do krzaków; w końcu skrył się na dobre.

To niezwykle postępowanie nieposłusznego psa gniewało mnie témbardziej, ile że stado kaczek, z kilku przynajmniej tysięcy sztuk złożone, siedziało sobie na wodzie o kilka staj tylko od brzegu. Gdyby był pies zrobił swoje powinność, kaczki byłyby się niezawodnie na strzał zbliżyły. Lecz upór, czy lenistwo mego czworonożnego towarzysza, zniweczyły moją rachubę. Gdy wszystkie zachęty nie pomagały i na próżno kilka godzin mineło, opuściłem dotychczasowe stanowisko i wróciłem do czołna. Na niegodziwe zaś to psisko ani nie skinąłem, żeby szedł za mną, a choćbym się był miał wystawić i na wymówki przyjaciela, chciałem sobie bez niego popłynąć do domu. Tymczasem jemu samemu wpadło na myśl iść za mną i wskoczyć z tyłu do łódki. Chciałem go już prawie wyrzucić, lecz powoli uspokoiłem się, i stojąc w łódce, rozważałem sobie co począć.

Kilka minut przypatrywałem się kaczkom Canevas, których stada siedziały na wodzie, a tak blisko jedna drugiej, że dobrym jednym nabojem z dwadzieścia przynajmniej można ich było ubić. Byłem nie mało wzruszony, widząc się w obec nich bezsilnym, i zadawałem sobie ustawicznie pytania, czy rzeczywiście nie ma jakiego zbliżenia się do nich. Wreszcie wzbudziła mi się szczęśliwa myśl w głowie. Już nie raz na polowaniu na zwyczajne kaczki zbliżałem się do nich w ten sposób, że łódkę okrywałem gałęziami, następnie wiatrem lub prądem wody pędzony ku nim, zbliżałem się na strzał wygodnie. Kto wie, czyby mi się i tutaj ta sama sztuczka nie udała! Toć nie zaszkodzi zrobić próbę.

Wszystko prawie zdawało się wróżyć pomyślny skutek, gdyż kaczki siedziały na wodzie naprzeciwko pola zarosłego walisneryą, poryą, zkąd był wiatr, a gałęzie, któremi łódkę zamierzałem pokryć, były również zielone i trudne do rozróżnienia od zielonej owój rośliny. Nałamałem więc kilkanaście zielonych gałęzi



i powtykałem je ze wszystkich stron w szpary łodzi. Mniej więcej na pół godziny odpłynąłem od brzegu i z daleka łódkę moją byłby każdy za co innego uważał, tylko nie za płynące czołno. Tak płynąłem sobie spokojnie coraz dalej, aż się na jakie trzy staja do kaczek z tyłu zbliżyłem. Teraz przestałem sam wiosłować, puszczając łódkę na wolę wiatru, przyczem z ostrożności usiadłem tak, ażeby mnie nic widać nie było, a ja tymczasem ze wszystkich stron wolny miałem widok na wodę. Gałęzie zastąpiły mi zupełnie żagiel i choć powoli, płynąłem sobie jednak pomiędzy dziką selerą prosto ku kaczkom.

Tymczasem skwar był nie mały. Było to wprawdzie w Listopadzie, ale mieliśmy owo tak zwane *indyjskie lato*; gorąco dochodziło + 26—30° R. Liście zasłaniały mnie w łódce przed wietrzykiem, a promienie słońca, spadające prawie prostopadle, sypały żarem. Jednakże w nadziei ubicia kilku kaczek znosiłem mężnie wszelkie przykrości. Prawie godzina cała upłynęła, zanim łódka mogła się przedrzeć przez selerę, którą zatoka była zarosła; kilka razy nawet dopiero za mocniejszym wiatrem popłynęła dalej. W końcu zbliżyłem się do pola selerowego; i któż opisze mą radość, gdym widział, jak nieprzejrzany zastęp kaczek płynął w kierunku ku mojej łodzi.

Leżałem sobie spokojniuteńko, dając ciągle na nie pilnie baczność. Razem z canevasami płynął także inny gatunek kaczek, wodnych ptaków, tak zwana czerwonoszyjka amerykańska. Było rozkosznie patrzeć, jak te ptaki z kaczkami ciąglą prowadziły wojnę. Trzeba wiedzieć, że czerwonoszyjka nie umie się zanurzać, przeciwnie canevasy doskonałymi są nurkami, a ponieważ czerwonoszyjka także lubi korzonki dzikiéj selery, przeto nie pozostaje jej nic innego, jak podstępem wydrzeć kaczce canevas ulubioną zdobycz. Gdy się canevas zanurzy, musi oczywiście, zanim pochwyci korzeń selery, kilka chwil zostawać pod wodą. Skutkiem tego wynurzywszy się z korze-

niem z wody, w pierwszym momencie jest oślepioną. Czerwonoszyjka, widząc zanurzającą się kaczkę, upatruje sobie miejsce, gdzie się znowu wynurzy, przylatuje potem do niej, i zanim ta przyszła do opamiętania, już jej czerwonoszyjka korzeń z dziuba wykradła. Dokonawszy kradzieży, czerwonoszyjka zmyka co może, gdyż czuje się słabszą i obawia się zemsty. Canevas jednakże jej nie goni, nagebowawszy tylko po swojemu za nią, pluska napowrót po nowy korzeń, który jej znowu jaka złodziejka może wykradnie.

Takie sceny powtarzały się przed moimi oczyma ustawicznie. Były tam jeszcze i zwyczajne kaczki, podobne do canevasów, z tą tylko różnicą, że oczy ich są żółte, a canevasy zupełnie czerwone. Dzikie kaczki nie wdawały się wcale z dwoma pierwszymi gatunkami, lecz pożerały to, czém tamte gardziły, to jest zielone listki walisneryi, które pływały po wodzie. Dodać mi tu trzeba, że i te kaczki mają bardzo smaczne mięso, i nieraz w Nowym Yorku i Filadelfii sprzedają je za canevasy.

Ku wielkiemu memu zadowoleniu spostrzegłem, że zbliżyłem się już na odległość strzału do wielkiej kupy kaczek. Chodziło teraz o to, żeby dubeltówkę bez szelestu najmniejszego wysunąć pomiędzy gałęziami i liściem, odwieść kurki i strzelić.

Zwykle strzela się do kaczek z jednej lufy, gdy siedzą, z drugiej, gdy się podnoszą w powietrze. Tak postąpiłem sobie i tutaj. Po kilku chwilach 15 do 20 kaczek płynęło już nieżywych na wodzie, reszta wzbijała się pod obłoki, uderzając skrzydłami tak silnie, że prawdziwie ogłuszający powstał szelest.

Zresztą nie wiem do dzisiaj, czy 15, czy też 20 zabił kaczek, gdyż ani jednej do rąk nie dostałem. Inny bowiem wypadek tak dalece mnie zajął, że zupełnie zapomniałem o canevasach, czerwonoszyjkach i dzikich kawkach.



Już wtenczas, gdy się łódka moja przedziérała przez wodne rośliny, podpadło mi i zadziwiało mnie nie mało po kilka kroć szczególniejsze zachowanie się mego towarzysza — psa. Leżał on sobie na drugim końcu czołna, przykryty naokół gałęziami, skulony, ale raz poraz zrywał się na nogi, oglądał się naokoło, niby w obłąkaniu, skomlał dziwnie i znowu się pokładał. Kilka razy téż potrząsał łbem, jakby chciał wszystkie kły wyrzucić ze łba. Ja, zajęty w najwyższym stopniu kaczkami, nie miałem ani czasu, ani ochoty dłużej się nad tém zastanawiać, myśląc sobie, że pies zapewne, będąc po raz pierwszy na morzu, dostał morskiej choroby, lub téż po prostu boi się wody.

Lecz zaledwie wystrzeliłem z drugiej lufy do kaczek, zwróciłem znowu uwagę na psa i odtąd byłem nim ciągle zajęty, tak że już o niczém inném nie mogłem myśleć. Pies podniósł się, stanął na nogach o trzy kroki odemnie, i począł wyć okropnie. Patrzył na mnie dziko i strasznie, język wisiał mu wyłożony z pyska, z którego się toczyła piana — już nie było żadnej wątpliwości: *pies był wściekły!*

Już nieraz widziałem psy wściekłe, znałem téż doskonale wszelkie oznaki wścieklizny. Jakie uczucie mną ogarnęło, gdym widział przed sobą psa wściekłego, jakże mogę to opisać? Widziałem jasno, że się w bardzo niebezpieczném położeniu znajdowałem, a nie widziałem żadnego sposobu ratunku. Śmierć okropna stała przedemną — tuż przed oczyma. Zdawało mi się, jakby patrzyła na mnie dziko oczyma wściekłego owego zwierzęcia. Instynktem wiedziony, pomyślałem o obronie. Chwyciłem za fuzyą, chciałem odwieść kurek — niestety! zapomniałem nawet, że już obie lufy wystrzeliłem.

Chciałem znowu nabić, lecz groźna postawa psa dawała mi niejako do zrozumienia, że najmniejsze moje poruszenie będzie dla niego powodem do kroków

zaczepnych. Obróciłem zatem fuzyą tak, aby w razie napadu bronić się przynajmniej kolbą. Tak uzbrojony cofnąłem się tyłem do przodu łódki. Pies leżał na drugim końcu, ale powstawszy, zbliżył się o tyle do mnie, że mógł mnie łatwo ukąsić. Położenie moje w niczem się więc nie zmieniło.

Kto się znajdował na amerykańskiej łodzi ten wie, jak się łódź ta chwieje i kołysze na obie strony, i jak łatwo za każdym mniej ostróżnym krokiem można się przewrócić i wpaść we wodę. Żeby nie wypaść, trzeba ustawicznie zachowywać równowagę, żeby zaś w takiej łodzi potykać się z wściekłym psem i nie dać mu się ukąsić, do tego potrzeba już zręczności skoczka na linie. Podczas gdy na przodzie łodzi pół stał, pół klęczał, łódka przechylała się z jednego boku na drugi tak iż w ciągłej byłem obawie, żeby nie wpaść we wodę, co bardzo łatwo być mogło, skoroby pies rzucił się na mnie, albo też łódka sama mogła się przewrócić, co jeszczeby gorzej było.

Pies ani na chwilę nie spuścił ze mnie straszliwego swego spojrzenia; jak osłupiały, wściekły i dziki patrzył wciąż na mnie. Wszystkie moje żyły i nerwy były wyprężone, krew biła mi gwałtownie do głowy — najmniejsze moje poruszenie mogło być psu hasłem do napadu. Zamyślałem już wskoczyć do wody, która na pięć stóp zdawała mi się być głęboką, lecz grunt był ślamisty, jakże się więc z niego wydobyć? Lecz czemuż nie płynąć do brzegu? Umiałem wprawdzie pływać, lecz rzucić się do wody w rzeczach i chcieć dopłynąć do brzegu, przynajmniej pół mili odległego, byłoby szaleństwem. Tak tedy żadnego sposobu ratunku — nawet już nie miałem nadziei, aby się wydostać cało z tak okropnego niebezpieczeństwa. Nie pozostało mi nic więcej, jak tylko w milczeniu, w rozpacz, oczekiwać końca.

W tym przeświadczeniu stałem martwy, nieruchomy, jak posąg, — ani palcem ruszyć nie śmiałem, na-



wet lękałem się nieco pełniej oddychać, aby tylko do gniewu nie pobudzić psa, który równie nieruchomie stojąc, patrzył mi oko w oko.

Tak przeszło kilka minut, które mi się wiecznością wydawały. Po kilka razy wydawało mi się, jakoby pies na mnie chciał skoczyć, — wtedy silniej chwyciłem za fuzyą, najmniejszego przytęm nie zdradzając poruszenia.

Niepocieszne położenie moje pogorszyło się jeszcze, gdy łódka, wydobywszy się z pomiędzy roślin, pędzona wiatrem, wypłynęła na otwartą odnogę morską. O milę sterczały po nad wodą skały, o które łódź moja roztrzaskać by się musiała w drobne kawałki, gdyby o nie uderzyła. W dziesięć minut śmierć niechybna mnie czekała na owych rafach, gdybym łódki nie zdołał wcześniej w inną skierować stronę. Jedno z dwojga musiałem teraz koniecznie obierać, albo psa odpędzić od wiosła, które pod nim leżało, albo ginąć w nurtach odnogi.

W ostatnim przypadku śmierć moja była niechybna, w pierwszym razie mogłem się przecież jako ocalić. Postanowiłem zatem uderzyć na psa i dostać się do wiosła. Nie wiem czy pies wyczytał mi mój zamiar z oczu, czy też spostrzegł, że mocniej fuzyą ścisnął palcami, dość, że w tej chwili, jakby nagłym zdjęty przestraczem, cofnął się na sam koniec łódki i przyczaił się z pewną niespokojnością.

Już miałem schwycić za wiosło, bo już dochodził uszu moich szum wody rozbijającej się o skały, ale namyśliłem się inaczej. Postanowiłem wprzód nabić fuzyą. Prawda, że to było niebezpieczne przedsięwzięcie, ale z największą ostrożnością, patrząc ciągle na psa, za pomocą macania tylko wsypałem do lufy proch i śrót; tak udało mi się nabić jedną lufę. Teraz już z większą śmiałością mogłem nabić i drugą. Pies tymczasem ani na chwilę nie spuścił ze mnie oka.

Skały były już też niedaleko; jeszcze minutę, a łódka moja musiałaby się o nie rozbić jak skorupki.

Ani minuty nie miałem więc do stracenia, a przecież trzeba było postąpić sobie w téj stanowczej chwili jak najostróżniej. Nie miałem tyle odwagi, żeby fuzyą przyłożyć do ramienia, a nawet nie śmiałem spojrzeć na się, żeby tylko nie podrażnić tego psa strasznego.

Trzymałem więc fuzyą nisko; wymiarkowawszy zaś, że lufy obydwie są wymierzone prosto na psa, chwyciłem za cyngiel i palnąłem. Szum wody przy skałach był taki wielki, że huk strzału wcale nie słyszałem, ale widziałem, jak pies podskoczywszy w górę, padł na bok miotając się bezwładnie. Wszystek śród, cały nabój, dostał mu się pomiędzy żebra, lecz żeby się ze wszystkim upewnić, przyłożyłem fuzyą do ramienia i zmierzwszy dobrze, wsadziłem mu drugi nabój. Pies w téj chwili przestał się ruszać.

Rzuciłem natychmiast fuzyą, chwytając za wiosło. Czas już był wielki, bo łódka już poczęła tańcować w kółku, jak piórko porwane wirem. Lecz udało mi się jeszcze wydobyć ją z prądu, poczem spokojnie dopłynąłem do brzegu.

Można sobie wystawić, że już nie myślałem o kaczkach canevas, które tymczasem już daleko popłynęły sobie z wodą. Nie widziałem, dokąd je woda uniosła, ale mniejsza o kaczki — niech się tam niemi posilą aligatory lub ryby morskie. Ja tylko wyskoczywszy na ląd, padłem na kolana, aby Panu Bogu podziękować za cudowne prawie ocalenie, i odtąd już nigdy nie biorę ze sobą psa na polowanie — a zwłaszcza obcego.

---

## Jeden wieczór na Saharze:

Obrazek z życia koczujących Arabów.

Podczas mego pobytu w Afryce uczęszczałem bardzo chętnie do kawiarni mauryjskich, w których Arabowie zbierają się tak na grę, na palenie fajek i picie



kawy, jako téż, aby się tam przespać, dać się ogolić i odbywać inne interesa, gdyż lokal taki jest u nich zarazem kawiarnią, restauracją, teatrem, golarnią, giełdą i sądem pokoju.

W czasie co rok powtarzającego się postu Ramadan przybiera kawiarnia maurytańska prawdziwą postać teatru, gdzie zgromadzeni raczą się widokiem przejezdnych kunsztmistrzów, którzy za pieniądze dają widowiska, tańczą i śpiewają. W czasie targów przychodzi także Kaid i Kadi, siadają na dywanach rozpostartych przy drzwiach, podpisując dokumenta, słuchają świadków lub godzą swary pomiędzy współwyznawcami koranu.

Nasze eleganckie europejskie kawiarnie ledwo że mają cień podobieństwa do swych sióstr maurytańskich. Jest to bowiem sala o czterech gołych ścianach, z ławkami wzdłuż ścian, które to ławki czasem są wyściełane dywanami. W kącie sali wre ustawicznie woda na kawę we wielkim garnku na kominie. Za dziesięć fenigów na nasze pieniądze sięga sługa na grzyp nad kominem po filiżankę małą, podobną do skorupy jaja, napełnia ją kawą i fusami i przynosi gościowi. Arabowie nie tylko piją kawę, ale ją także jedzą. Jeżeli kto jedną chociaż filiżankę kawy kupił, to już ma prawo cały dzień bawić w kawiarni, a nawet w danym razie i przenocować się może.

Bardzo malownicze można tam napotkać grupy. Jedni skuleni siedzą na matach i słuchają pilnie jakiego opowiadacza, który gestykulując prątkiem z drzewa oliwnego prawi im o czynach bohaterów jakiego sławnego męża; inni piją swoją kawę, palą fajki i nie myślą o niczym. Tu powstają niektórzy z uszanowaniem gdyż *szeik* ich *duaru* (przełożony pokolenia) wchodzi; przystępują do niego i z szacunkiem całują końce jego burki. Tam znów grają w szachy, jedni *damah* (warcaby) inni *strondż* (szachy); tam znów golią sobie po dwóch nawzajem swe głowy nożem, który za-

wsze noszą za pasem. Głowy golą sobie Arabowie zupełnie, zostawiając tylko na samym czubku kosmyk; według ich wyobrażeń religijnych pono przy zgonie anioł chwyta duszę za on kosmyk i unosi do raju.

Kiedym mieszkał w Maskara, chodziłem codziennie do kawiarni przy bramie owańskiej. Gospodarz znał mnie już dokładnie, dla tego skorom wszedł, zaraz mi przynosił moją filiżankę, i moją fajkę o bardzo długim cybuchu z drzewa różanego. Pomimo że umiałem i *czybuk* (fajkę) palić według tamtejszego zwyczaju i kawę z elegancją arabską pić i jeść, jednakże Arabowie patrzeli na mnie z podejrzliwością, gdyż ich to kociło, że *rumi* (chrześcjanin) towarzystwo ich profanuje. Przez długi czas ci poczciwcy słowa do mnie nie przemówili, owszem ciskali na mnie surowe spojrzenia, a czasem nawet wcale niepoehlebne słówko doleciało moich uszu.

Szczęśliwy jednak traf zbliżył mnie do nich. Jeden *Kaid*, którego nieraz już pozdrawiałem, zawezwał mnie jednego dnia do party szachów. Nigdy jeszcze nie widziałem tak zdziwionych ludzi, jak dzisiaj moich Arabów. Cóż to znaczy, że kaid gra w szachy z rumi? Tego sobie wytłomaczyć nie umieli. Stanęli naokoło nas i z wielkiem wyteżaniem oczekiwali skutku gry.

Reguła gry w szachy jest ta sama co w Europie, tylko szachownica tém się różni że jój pola są wklęsłe, a zamiast kroli, wież i oficerów, mają sułtanów, minarety i marabutów. Zwycięstwo utrudniałem kaidowi, pozwoliłem mu jednakże w końcu wygrać, aby nie podzielać losu owego gracza, który zwykle we Ferney był partnerem Woltera, a który zwykle, jak partyą wygrał, uciekać musiał przed gniewem filozofa. Zwyciężył mnie zatem, a wszyscy krajowcy cieszyli się na cały głos ze zwycięstwa ich przewodnika.

Przez to jednakże doszedłem do celu. Od tego dnia uważali mnie Arabowie za swego. Przez jedno granie w szachy z kaidem już u nich zjednałem sobie



powagę. Naturalnie że z tego nie omiészkałem korzy-  
stać i niedługo zawiązałem z jednym wykształconym Ara-  
bem z pokolenia *Beni-hamra* ściślejsze stosunki. Po-  
między innymi wyraziłem mu jednego dnia życzenie  
poznania oprócz Maurów, Turków, Kulugłów i Arabów  
z miast, poznania także prawdziwych autochtonów kra-  
jowych, to jest Arabów mieszkających w szałasach, czy-  
li Arabów koczowniczych. Nieraz już bowiem okrąża-  
łem ich duary (obozowiska). Często pod pozorem  
kupienia jaj albo innych rzeczy, przestępowałem drogi  
szałasu, ale dla tego, że Arabowie górscy mają zabo-  
bonny wstręt do każdego *rumi*, przeto nie udawało mi  
się nigdy poznać z bliska ich zwyczajów. Łatwo sobie  
więc można wystawić, jaką radością byłem przejęty,  
gdy mój znajomy Arab, Machomed-ben-Radza przyo-  
biecał mi zaspokoić moją ciekawość i wziąć mnie z so-  
bą do jego pokolenia *beni-hamra*. Po daniu mi przyrzec-  
zenia, powstał w milczeniu, sięgnął po swój nóż z pochwy  
za pasem, i bez ceremoniji zdjawszy mi czapkę z gło-  
wy, chciał mi włosy ogolić. Naturalnie że sprzeci-  
wiłem się temu.

— Co chcesz zrobić z moją głową? — rzekłem  
cokolwiek zaniepokojony, pół seryo, pół ze śmiechem.

— Jestto konieczna, — odrzekł Machomet po arab-  
sku, — to stać się musi, spuść się na mnie.

Ponieważ spór mógłby był łatwo pozbawić mnie  
nasycenia méj ciekawości, dla tego poddałem się me-  
mu przeznaczeniu i pozostawiłem głowę memu *cicerone* na  
łaskę i niełaskę. Wziął ją téż zaraz między swe ko-  
wsa i począł nożem swym ciąć w mym lesie włosistym.  
Gdy ukończył operacyą, podał mi z tryumfującym u-  
śmiechem małe lusterko. Wzdrygnąłem się na widok  
méj głowy; cała czaszka była jak księżyc w pełni, z  
wyjątkiem, że na samym czubku głowy sterczał długi  
kosmyk włosów; wyglądałem tak jak Chińczyk!  
Lecz cóż było robić? jakże naprawić co się już stało?

— Jutro, skoro *fedżer* (brzask) zaświta, 'odjedziemy; bądź zatem gotowy, a Ałłach niech będzie z tobą.

Po tych słowach pożegnaliśmy się, a Arab odszedł odemnie. Przyznać muszę, że wstydzilem się méj tonzury, i ztąd pędziłem jak wiatr przez ulice miasta Maskara, schronilem się do mego pokoju i rozpocząłem rzeczy pakować, aby być przygotowanym na jutrzejszą wycieczkę. Właśnie rzeczy w tłumoczku upakowałem, gdy mi gospodarz wręczył spory pakiet, powiadając, że pochodzi od mego arabskiego przyjaciela. Gdym pakiet otworzył, znalazłem w nim całkowity krajowy ubiór. Teraz dopiero zrozumiałem, dla czego Machomet-ben-Radża ogolił mi głowę.

Ucieszony nadzwyczaj, że się mogę przeistoczyć w Araba, zdjąłem natychmiast ubiór, a za to zarzuciłem na siebie lekki haik, który na czole przymocowałem sznurami z włosów wielbłądzich, potem wciągnąłem na siebie białą gandurę i okryłem się brunatną burką, a wreszcie obułem trzewiki z złotego marokinu. Tak przebrany, ległem na łożu, abym na wezwanie mego przewodnika mógł bez zwłoki wyjechać.

W oznaczonej godzinie usłyszałem gruby głos Machometa pod memi oknami. Natychmiast zeszedłem na dół. Zdawało się, że Machomet był zadowolniony, gdym mu się po arabsku przedstawił. Dosiadszy konia dał mi znak, abym i ja drugiego dosiadł, i tak popędziliśmy cwałem. Machomet po za miastem ustawicznie był mi przy boku.

Gdyśmy obszerną pustynię, zwaną *ghris* przebyli i wzgórze *Qued-el-Hammant* na prawo po za sobą zostawili, wjechaliśmy w góry, po za którymi znajdował się duar Machometa.

Dla turysty, który się rad własnym myślom oddaje, nie ma nic przyjemniejszego, jak podróżować z Arabem. Zadowolnia on się tém, że jest przewodnikiem, a w danym razie stawa i do obrony oddanego mu po-



dróżnika, ale nigdy nie przychodzi mu na myśli przerywać mu dumania śmiesznymi wykrzykami, albo niewczesnym gawędzeniem. W Europie przewodnik twój, chcąc uchodzić albo za bardzo gorliwego albo z rzeczą obeznanego, co chwila wykrzykuje: Patrz! co za precudny widok!.. podziwiał to lub owo!.. ach! co za piękne drzewa!.. nie prawda? wszakże ten widok jest zajmujący?.. — I tak dalej.

Gdy natura przemawia, na cóż zdadzą się wyrazy podziwienia z ust człowieka? Ztąd też Machomet milczeniem swoim bardzo mnie sobie zjednał, bo mi pozwolił żyć sam dla siebie, pozwolił mi podziwiać to co mi się podobało. Długo, długo, jechałem jak czarowany przesłicznym widokiem, który mi afrykańska przedstawiała natura.

Nagle koń mój stanął, a ja wyrwałem się z mego zamyślenia. Obejrzałem się — ale jak strasznie się przeląkałem, gdym zobaczył, że się znajduję sam jeden tylko!.. Machomet zniknął. Co się z nim stało? Nie mogąc sobie jego zniknięcia wytłomaczyć, wpadłem na podejrzenie, że Machomet zdradziecko mnie wywabił w pustynię, a teraz pobiegł do swego pokolenia, aby w znaczniejszej liczbie mnie napaść i jako chrześcianina zamordować. Przerażony zwróciłem konia, wbiłem mu w bok ostrogi, a ten kilkoma podskokami zaniósł mnie do... Machometa.

Co?! on rozbójnik, morderca! To być nie może! Znalazłem go klęczącego przed jakimś pomnikiem, a w tej właśnie chwili z twarzą zwróconą na wschód trzy razy ziemię pocałował, odmawiając przy tém przepisane modlitwy. Była to jego *salat-el-dohor* (pacięż południowy). Zacząłem teraz podziwiać religijność jego. Dla czegoż i ja nie mogłem, tak jak on, przejęty żywą wiarą, czołem mojem dotknąć się prochu ziemi, z której powstałem, a w którą się z czasem obróczę?

Zawstydzony przed samym sobą, że mogłem się tak unieść i wzniecić w sobie myśli, o których Arabo-

wi ani się nie śniło, zwróciłem konia, nie chcąc przerywać modlitwy. Ale też już i Machomet powstał, podniósł kamień rzucił go na stos obok będący, mówiąc: Idź do *nsa bel-ghrera!* *Nsa* to są stosy kamieni na grobach samobójców, albo też na miejscach, kędy jaka zbrodnia była popełniona. Żaden Arab nie minie *nsa*, aby na niego nie rzucić kamyka.

Oczekiwałem Machometa przy karawanseraju, czyli gospodzie arabskiej. Właśnie karawana weszła do tego seraju, gdzie się teraz nader malowniczy przedstawił mi widok. Arabowie poili wielbłądy i opatrywali konie. W uniesieniu przypatrywałem się jednemu z towarzyszków karawany, którego podarta ledwo okrywała burka i który właśnie przymocowywał sznurami trzewiki do słońcem opalonych nóg bosych. Jeszcze nigdy nie widziałem tak wybitnych form, nigdy tak wyrazistych muszkułów, któreby nawet dłutowi Michała Angela były zaszczytem. Z największym spokojem i szczęśliwością, która się w jego twarzy odbijała, siadł i począł palić fajkę. Szczęśliwy nomadyjczyku Sahary, wieczny tułacz na pustyni! żadnych nie masz chęci, niczego się nie obawiasz, prócz... Ałłaha.

Wezwałem Machometa do wypoczęcia także w karawanseraju, ale nie było to jego zwyczajem. Znał on w pobliżu źródło, nad którym milój mu było, ani żeli w karawanseraju. Tameśmy się też zatrzymali, zsiadli z koni i zasilili się daktylami, które Machomet miał ze sobą, i świeżemi figami, które zerwał na tém miejscu.

Usiedliśmy przy źródle, do którego przychodziły czerpać wodę tak murzynki, jak i niewiasty arabskie. Machomet powitał każdą kilku grzecznemi słowami, a niewiasty mu odpowiadały. Wreszcie rozpoczęła się między nimi dłuższa rozmowa. Ja tymczasem zadowolony przypatrywałem się ich prostym ubiorom, ich nieporównanej elegancyi ruchów, gdy małemi naczynia-



mi napełniały *gerba*, to jest naczynia z koziej skóry, albo téż myły twarz, ręce i nogi.

Naraz bardzo pocieszny widok odwrócił moję uwagę w inną stronę. Około dwudziestu Arabów uzbrojonych w *matrak*, to jest kije długie, przebiegło około nas ze zagłuszającym krzykiem. Zapytałem się Machometa co ta osobliwsza scena ma oznaczać.

— To polowanie z matrakami! odpowiedział wesoło.

Nie mogłem zrozumieć zaraz, ale dopiero przypatrzywszy się dokładnie, zrozumiałem, o co chodziło. Arabowie stanęli tak w koło, że otoczyli znaczną przestrzeń, a jeden z nich, znajdujący się w kole, uderzył swym matrakiem po liściach krzewiny, aby tym sposobem zająca lub królika wypłoszyć. Po kilku minutach tego ogłoszenia wyskoczył zając z krzewiny palmowej, którego Arabowie powitali głośnym krzykiem. Biedny zając, widząc się zewsząd otoczonym, nie wiedział gdzie się podziać; skakał on tu i tam, jak wewiórka w klatce, i napróżno wyjścia sobie szukał. Wreszcie nabrał serca i na óslep uderzył pomiędzy dwóch Arabów, aby się przerznąć; ale ci natychmiast ubili go matrakami.

W górach oddają się Arabowie z upodobaniem owemu polowaniu na kije, które patrzącemu bardzo śmieszném się wydaje.

Skoro polowanie się skończyło, natychmiast udaliśmy się w drogę, a Machomet dał koniowi ostrogi i przyspieszył biegu, aby jeszcze przed zmrokiem dostać się do duaru Beni-hamra, leżącego na samym, końcu pustyni. Góry przybięrały teraz postać dzikszą, a podróżnych trafialiśmy coraz mniej. W czasie trzech godzin widzieliśmy trzech tylko Arabów, którzy na swych małych koniach cwałem jak wiatr tuż obok nas przelecieli.

— Aba-ho! aba-ho! fantazia, bezef fantazia! — wołał za nimi Machomet.

W swém uniesieniu skinął na mnie, wzywając, abym i ja puścił się z nimi w zawody. Ci puścili koniom swym wodze i cwałowali po popękanéj, kamienistej powierzchni, niby wiatr, ale ja nie miałem ochoty narazić się na to, aby gdzie w przepaści karku nakreć.

Wreszcie u stóp naszych ukazały się nagle szafasy duaru Machometa. Na ten widok tak się ucieszyłem, że niedługo byłbym „ład!“ zakrzyknął, jak ongi ludzie Kolumba na widok Ameryki. Machomet dał teraz koniowi ostrogi i puścił się takim pędem, że chcąc nie chcąc musiałem teraz z nim odbyć *fantazią* (wyścigi). Jeszcze bardziej zmęczony aniżeli mój rumak, przybyłem wreszcie do siedliska pokolenia, przywitany najprzód przez całą sforę psów. Dzieci Machometa, ubrane w długie koszule, z czerwonemi chustkami na głowie i amuletami na szyji, wybiegły nam naprzeciw. Sądziłem, że przyszły powitać się z ojcem; ale jak wielkiem było moje zdziwienie, gdy doskoczywszy do naszych koni i zwinnie, niby mały, wskrabali się koniom na szyję, ztamtąd na grzbiet, a wreszcie siadszy za nami wydały zwykły okrzyk *fantazia!* Okrzyk ten u Araba wyraża najwyższe uczucie rozkoszy.

Gdy Machomet z dumą przez kilka minut przypatrzył się malcom, wprowadził mnie wreszcie do namiotu.

Ceremonia przyjęcia w namiocie arabskim jest całkiem różna od formy przyjmowania gości w Europie; tu bowiem nikt się nie troszczy o to, że ktoś obcy wszedł do szafasu. Machomet dał mi tylko znak, abym usiadł. Skuliłem się tedy na pleciance.

Na piérwszy moment uczułem duszność z powodu fermentującego mléka i skutkiem wyziewów skór niewyprawnych, a oczy zaślepiły w niepewnym świetle. Zwolna jednak przyzwyczał się wzrok do ciemności i mogłem się natenczas zorientować.



Namiot podtrzymywało ośm mocnych pali wbitych w ziemię. Wielki dywan rozdzielał całe wnętrze na dwa mieszkania. Miejsce, w którym się znajdowałem służyło za kuchnię, jadalnię i warsztat. W kącie siedziała brzydka murzynka, strasznie tatuowana, odziana w pstrokate okrycie, która na ręcznym młynku meła zboże na potrzeby rodziny, a jakaś młoda dziewczyna robiła z mąki kluski i gotowała ulubioną potrawę *kukusu*. Ogień palił się w dziurze wykopanej w ziemi.

Po za krosnami trzciniowemi siedziała jakaś kobiéta, która mi się wydawała bardzo piękną. Była to pierwsza żona Machometa, a z tego, jakim się dla niej okazywał, wnosić było można, że była jego faworytką. Imię jój było *Fatma*. Jak wszystkie arabskie kobiety, była tatuowaną w arabeski, gwiazdy, tak na czole, jak na rękach i nogach.

Dwa jój czarne oczy błyszczały jak dwa brylanty pod łukiem brwi, przedłużonym sztucznie, ożywiając twarz młodocianą *Fatmy*. Usta miała czerwono ufarbowane i napuszczone pachnidłem. Ręka jój okryta arabeskami z szybkością biegała w krosienkach, przy których *Fatma* tknęła materyą na burkę. *Fatma* była dosłownie całkiem pokryta drogiemi kamieniami i kosztownościami. Mnóstwo zausznic, branzoletek, naszyjników, naramienników i nagoleni, zwanych po arabsku *khrol khral*, ze srebra, pereł, koralu i drogich kamieni, wisało na niej.

Na znak swego pana, powstała, ścisnęła mocno pas obejmujący jój smukłą kibić, przystąpiła do miejsca w ziemi wykopanego, w którym zachowywano rzeczy pewnej wartości i które było zarazem szafą, skrzynią i kufrem. Ztamtań wydobyła kilka naczyń.

Podczas tego Machomet się oddalił, a ja pozostałem sam na sam z jego żoną. Byłem w bardzo przykrém położeniu, nie wiedziałem bowiem, od czego zacząć rozmowę, i nadaremnie pękał mi mózg nad wy-

myśleniem jakiego tematu rozmowy. W Arabii nie tak łatwo rozpocząć rozmowę, jak w Europie, gdzie *pogoda* zwykle nastrecza dosyć materiału; w Arabii zaś niebo dosyć pogodne, które nawet tego ostatecznego sposobu rozpoczęcia rozmowy biédnego obcego człowieka pozbawia. Ponieważ nie widziałem żadnego sposobu do przemówienia, dla tego uczyniłem to co musiałem, to jest milczałem, jak niemy.

Zdaje się, że moje zakłopotanie nie uszło baczniejszego oka Fatmy, a nawet uważałem, że ją to bardzo bawiło, gdyż raz po raz ukradkiem strzeliła na mnie oczyma, a wreszcie rozśmiała się głośno, prosto mi w twarz. Mnie zaś nie było to wcale śmieszném, jak każdemu, który z własną krzywdą śmieszłą rolę odgrywa.

Niedługo inna sposobność wybawiła mnie z kłopotu. Przyjaciółka Fatmy, stojąca za namiotem, przypominała jój, że dziś ma się odbyć zgromadzenie niewiast na jakimś cmentarzu, na cześć jakiegoś marabuta zmarłego. Zaciekała mnie ta rozmowa osoby znajdującej się w namiocie z osobą po za namiotem. Skoro tylko Machomet powrócił, nie omieszkałem mu wyjawić mego zadziwienia. Machomet mnie na to pouczył, że żadnej niewieście nie wolno przestępować namiotu, skoro pan jego jest w domu. Dopiero w nieobecności jego wolno kobietom odwiedzać się nawzajem; pod karą zaś chłosty nie wolno niewiastom w nieobecności ich mężów zatrzymywać u siebie obcych mężczyzn.

— Krótko przedtém — dodał Machomet, — właśnie w duarze Beni-hamra zdarzyło się, że Arab znalazł takiego gościa w domu, wróciwszy niespodzianie. Tak gościa jak i żonę spotkała zwykła kara, to jest on sam poucinał im głowy.

Machomet opowiedział mi to z taką obojętnością, jakby to wcale nic nie było znaczącego, a mnie tymczasem zgroza przejmowała. Poruszyłem się, powstałem, gdyż zaczęło mi się robić duszno. Machomet



dojrzał moje poruszenie, ale znać tłómaczył on je sobie tak jak ja ani pomyśleć nie mogłem. Powstał bowiem i wyprowadził mnie z namiotu. Kilkadziesiąt kroków od namiotu znajdował się dół, w który wrzucano resztki zwierzęce. Do tego dołu zaprowadził mnie Machomet, i wskazał ręką. Pomiędzy szkieletami i napół zgniłemi zwierzętami spostrzegłem dwie... głowy ludzkie. Były to głowy owych ofiar, o których mi Machomet opowiadał. Odskokczyłem przerażony od tego widoku.

Aby czarne myśli moje rozpędzić, zaprowadził mnie mój gospodarz do pięknego lasku oliwnego. Istotnie! widok tak zajmujący, jaki mi się przedstawił, potrafił mnie weselój usposobić, tak, że niedługo czarne owo wspomnienie się zatarło.

Gdy to Machomet ujrzał, przypomniał mi, że nadszedł czas posilenia ciała. Wróciliśmy; tu przedstawił mi się nowy, niespodziewany widok — przygotowanie uczy. Dwóch silnych Arabów pochwyciło skopu w swe na słońcu ogorzałe ręce, urzneli zwińczeniu głowę, odarli je, a wyprawiwszy, wsadzili na wielki drewniany rożen, który z pieczeni nad ogniem obracali. Z wielkiem zajęciem przypatrywałem się temu przygotowywaniu jedzenia pod gołym niebem na sposób tak oryginalny.

Skop już upieczony; niedługo zjawiła się *gasa* (wielka drewniana misa), na którą pieczeń włożono i postawiono przed nas. Dalej sładzy, żony i dzieci Machometa znosiły nam rozmaite inne potrawy. Skoro już wszystko było w porządku, stanął Machomet przy mnie i prosił, abym jadł. Prosiłem go, aby przecież jadł ze mną razem; ale to nadaremnie. Arabowie uważają to jako konieczny warunek grzeczności i gościnności i wtedy dopiero złączą jeść, kiedy gość już się całkiem nasycił.

Nie widząc innéj rady, musiałem się poddać zwyczajowi. Umyłem ręce, aby palcy w miejsce widełcy

użyć, a potem sięgnąłem palcami w naczynie z potrawą *kukusu*, składającą się z fig, rodzenek, twardych jaj i mięsa kurzego. Wszystko to pomieszane razem, jednakże w samej rzeczy bardzo smaczne. Machomet ustawicznie mnie gestami zachęcał do jedzenia, a wreszcie zapytał, czy mi smakuje. Naturalnie chwaliłem, ile mogłem, ale nareszcie musiałem naczynie odsunąć. Tu spostrzegłem, jak jego oblicze poczęło się czerwienić. Zapewne sądził, że mi nie smakuje. Nie chciałem go obrazić, dla tego przymknęłem sobie naczynie napowrót i prawie z bohaterką odwagą, począłem zjadać owe arabskie przysmaczki, co widocznie bardzo mego gospodarza cieszyło, gdyż u Arabów gościnność na tém polega, aby gość jadł, a jadł dużo; i im więcej jé, tém Arab jest weselszym.

Najadszy się ile można było *kukusu*, zwróciłem się do skopowej pieczeni, którą już dwóch innych Arabów nożem i palcami na kawałki porozdzielało. Po pieczeni nastąpiły na deser owoce, a zamiast wina, woda. Machometanie bowiem nie piją żadnego trunku, ani nawet wina.

Gdym się najadł, prawie więcej, aniżeli tego było potrzeba, dopiero naczynia z pokarmami przeszły w ręce Machometa, a następnie poszły do niewiast i dzieci, od których je dopiero słudzy odebrali. W końcu postawiono je przed psy, które żarłocznie na wszystkie strawy się rzuciły.

Po twarzy Machometa widziałem, że gotuje dla mnie jakąś niespodziankę. W samej rzeczy tak było. Przygotował on dla mnie rodzaj teatralnego przedstawienia. Sprowadził on ośmiu arabskich cyganów, zwanych *ajsawa*, którzy umieją rozmaite sztuki kuglarzkie.

Przedstawienie się rozpoczęło. Tłum ludzi obstał kuglarzy naokoło. Cyganie rozpoczęli najprzód ogłuszającą muzykę, bijąc w tamburyny, rwiąc strony *erbuki* (rodzaj gitary), gwizdząc na piszczałkach. Podczas tego inni pokazywali swe sztuki z węzami. Je-



dni brali je na piersi, inni kładli sobie gadziny w usta, inni obwiązywali je sobie koło głowy niby turban. Inni zaś lizali rozpalone węgle, jedli szkło, kolczaste kaktusy, a inni znów tańczyli szalenie, wykrzywiali się okropnie, a wszystko z takim natężeniem, że wielu z nich wreszcie padło na ziemię i w straszliwych kurczach epileptycznych dokończyło przedstawienia.

Widok konwulsyjnie drgających ciał i pęki szumowin na ustach ajsawów zrobiły na mnie odrażające wrażenie, a jednakże podobał on się Arabom, gdyż okrzyk podziwienia *yu! yu!* rozlegał się na około, a kobiety ledwie oczyma swemi zasłon nie przebiły.

*Hadra* (zabawa — przedstawienie) się zakończyła, cyganie odeszli suto udarowani do swego namiotu, tłumy się rozeszły, a ja pozostałem pod jednym drzewem oliwném, aby jeszcze nacieszyć się owém prawdziwém niebem arabskiém. Prawie wszyscy Arabowie siedzieli na progach swych namiotów. Szejkowie z długimi, białymi brodami opowiadali młodzieży różne zdarzenia, a młodzież słuchając, spoglądała wzrokiem ku myryadom gwiazd, które nad ich głowami błyszczały; murzynki wesołe śmiały się głośno, pokazując przy każdym uśmiechu dwa rzędy bielutkich zębów perłowych. Gromada dzieci w czerwonych chustach i długiej wełnianej koszuli z krzykiem uganiała się w piasku za zającami zabląkanemi. Piękne Hagarry, majestatyczne Rachele spoczywały na rozłożonych dywanach i odsłaniały swe twarze, pozwalają księżycowi oblicza swe promieniami osrebrzać.

Widok ten takie na mnie zrobił wrażenie, że nie mogłem się wstrzymać, aby pój głośno, a przynajmniej tak głośno, że Machomet słowa moje mógł zrozumieć, nie wykrzyknąć: Czyżby tu, przy boku niewinnej córki arabskiej, czystej jak Ruth w swój patryarchalnej prostocie, nie można znaleźć tego szczęścia, którego w zamięcie życia w cywilizowanych krajach szukamy?

Jakby na odpowiedź zabrzmiał srebrny głos dziewczicy arabskiej, dochodzący mnie z jednego namiotu. Pieśń jeszcze tego samego wieczora spisałem tak, jak mi Machomet przetłómaczył. Brzmi ona jak niżej:

„Wolnym jest na pustyni koczujący Arab!

„Gardzi on życiem mieszkańca miast, handlerza piérzem i syna żydowskiego, którzy swemu panu muszą opłacać dziesięcinę.

„Jego namiot dłużej nie spoczywa jak jeden miesiąc; pędzi on przed sobą swoje trzody, które z dziłkami trzodami należą do *alfa* i *ghetof*.

„Nigdy on bieguna swego nie zaprzął do pługą; ziemi dotyka on tylko nogą.

„Bogatym jest na pustyni koczujący Arab!

„Do niego należy Sahara z jój bezgranicznemi przestrzeniami, po których na skrzydłach swego konia ugania się za gazelą i za ptakiem strusim.

„Jego są niewiasty bielsze od mléka wielbłądiego; są to kwiaty pustyni, które wydają czysty zapach oazy.

„Mężnym i szlachetnym na pustyni jest koczujący Arab!

„Kiedy go woła dzień, albo woła noc, zabiéra się natychmiast do *fekha* (zemsty).

„Uzbraja się lancą i strzelbą i spada jak grad w zimie na głowy przekłétego pokolenia, które jego przyjaciół obraziło.

„Mężów zabija do ostatniego, murzynów Sudanu, konie i owce uprowadza ze sobą, ale niewiasty odsyła ich matkom z całym ich strojem.

„Obcemu pozostawia miejsce honorowe na swoim dywanie, a na drugi dzień odprowadza go na drogę i mówi: „Idź za swoim szczęściem!“

„Szczęśliwym jest na pustyni koczujący Arab!

„Ostatnie płomienie świetlistego oka ozłacają już *merkeb* (wzgórze piaszczyste).



„Na zaczerwienionym horyzoncie pokazuje się trzoda *marhab* (dromedarów) Sahary.

„Kroki swe kierują do szczęśliwej oazy; niosą miechy pełne owoców pola.

„I wszystkie namioty napełniają się zbożem i wesołość będzie na oazie.

„*Bendair* się odzywa, konie tańczą, młode dziewczęta biegają po palmowych gajach i śpiewają o zakład ze źródłami pieśń o chłodnym powiewie wieczora!”

Ostatnich wyrazów ledwie dosłyszałem, gdyż zagłuszyły je wycia szakali. Ponieważ wycie to mnie przerażyło, przeto Machomet rzekł:

— Czy nie znasz jeszcze szakali? Wstań, choć ze mną, a poznasz je zblizka.

Niedługo Machomet uzbrojony w jatagan i strzelbę wyszedł i udał się na polowanie. Ledwo uszliśmy około sto kroków, a już zobaczyliśmy całą ich gromadę, które ujrawszy nas, uciekały, aż się piasek za nimi kurzył. Machomet przegiął się przez ścianę małego skalistego pagórka i rzucił kawał mięsa na pojętę. Nie wyszło pięciu minut, a już jeden szakal przyszedł, popęszył tu i tam i obwąchiwał każdy kamień mu zawadzający. Wreszcie jednym skokiem już był u zdobyczy. Machomet zmierzył, strzelił, ale w tym samym momencie szakal uskoczył i pędem wiatru uciekł na pustynią.

Machomet tém nie zrażony, rzekł: cierpliwości, zaraz przyjdą inne.

W samą rzecz innego głodnego ujraliśmy gościa. Przyszedł on tą samą drogą co i szakal, ale wyglądał straszliwiej i postać jego była o wiele groźniejszą.

— Pantera!... to pantera!... — zawołał Machomet przytłumionym głosem.

Oznajmienie to nie miało dla mnie nic powabnego. Widziałem już panterę w zwierzyńcu europejskim, ale na pewno mógłem się domyślać, że pantera pusty-

ni nie jest tak obłaskawioną, jak jój siostra we zwierzyńcu. Widziałem przytém, że raniona bardzo jest niebezpieczną.

Po przygotowaniach Machometa poznawałem, że nie żartem, myśli o polowaniu na grubego zwierza. Podejrzliwa pantera stanęła w bliskości ponęty i zapewne zadała sobie pytanie, czy iść naprzód, czy się cofnąć. Machomet jednakże nie pozostawił jój wiele czasu do namysłu, i wystrzelił. W dolinie rozległ się przeraźliwy wrzask... pantera była trafiona. W tój tóż prawie chwili spostrzegłem, że pantera bardzo szybko wdzierała się do nas na wzgórek. Przyznam się, że dla mnie bezbronno położenie w tój chwili bardzo było krytyczne i podobać mi się wcale nie mogło.

Jednakże Machomet nie stracił przytomności. Nie mając czasu do nabicia, oddał mi strzelbę, a dobywszy jataganu, oczekiwał pantery ranionój, która właśnie do niego się wdzierała. Nagle uskoczył Machomet w bok i w tój chwili utopił jatagan we zwierzęciu aż do rękojeści. Żałosne chrapanie było dla nas oznaką, że pchnięcie było śmiertelne.

— Nie udało mi się zupełnie, rzekł Machomet — popsułem skórę.

Prawie się rozśmiałem; co mi tam do skóry! mnie tylko cieszyło, że pantera nie żyje. Machomet otarł ostrze jataganu, wziął panterę na ramiona i wróciliśmy do duaru. Szejkowie opsypali Machometa pochwałami, których był w istocie wart, a nawet i mnie się tóż pochwał dostało, które jednakże odrzucić musiałem.

Już było późno. Dano mi wygodny namiot do użytku. Tam znajdowało się dość wygodne posłanie z kobierców i poduszek. Położyłem się całkiem nierozebrany, sądząc, że po tylu wrazeniach nie usnę, lubo szczerze chciałem; w samój rzeczy wycie szakalów i odpowiadających im psów duaru długo mi zasnąć nie pozwalały. Ponieważ namiotu nie zamknąłem, dla tego niedługo weszło do mnie kilka kóz i owiec, które się



około mnie położyły. Pomimo nieznośnej woni owych zwierząt, pomimo wycia szakali, które uważałem za wycie panter, usnąłem i spałem aż do rana.

Dzielny Machomet-ben-Radża odprowadził mnie przy moim odjeździe aż do płaszczyzny *ghris*. Tu pożegnaliśmy się. Ścisnęliśmy sobie ręce, a Machomet pocałował tę swoją własną rękę, która się mojej dotykała ręki.

Przed opuszczeniem Afryki po raz ostatni widziałem się z Machometem w kawiarni maurytańskiej, w której się z nim poznałem. Podarował mi na pamiątkę czerwony marokinowy woreczek, na którym nasze imiona stały w języku arabskim wyszyte. Woreczek ten chowam jako skarb największy.

---

## Świat zwierzęcy Oceanu Indyjskiego.

Pomimo że cały obszar wody na ziemi stanowi jeden wielki Ocean, wszakże dla klimatycznych stosunków, oraz innych warunków, każda część znowu Oceanem zwana, ma swe odrębne cechy, z odrębnymi gatunkami zwierząt i roślin. Są ryby żyjące we wszystkich morzach, o ile klimat pozwala, ale są też i inne, które tylko pewne przestrzenie wód zamieszkują. Tak samo i z ptactwem. Zdawałoby się, że właśnie ptactwo, mające wolność przenoszenia się na skrzydłach po wszystkich zakątkach ziemi i żyć na wszystkich punktach mających równy klimat, powinno przynajmniej na jednej i téj samej szerokości znajdować się na całym świecie. Jednakże tak nie jest. Niektóre z nich żyją wprawdzie po wszystkich morzach jednej i téj samej szerokości, ale nie wszystkie.

Ptakiem, tylko na Indyjskim oceanie żyjącym, jest *Kruk morski* albo *Kormoran*. Ptaki te są najlepszymi i najzgrabniejszymi rybakami. Toby jednakże jesz-

cze tyle jich nie zalecało; mają one jeszcze inny przymiot, a tym jest, że się dadzą obłaskawić i ułożyć do łowienia ryb dla człowieka. W średnich wiekach wychodzono na łowy z rurogami i sokołami; dzisiaj wychodzą Chińczycy z krukami na rybołówstwo. Pewien podróżny tak opisuje sposób używania tych zwierząt:

Na falach morskich unosiły się dwie łodzie, a w każdej znajdował się jeden rybak z 10 lub 12 ptakami. Skoro je tenże zawezwał, aby wzięły się do roboty, natychmiast owe roztropne zwierzęta poszły na wodę szukać ryb. Swymi zielonkowatemi oczyma umiały one rybę spostrzedz w znacznej głębi. Natychmiast dawały nurka, chwytaly rybę swemi zakrzywionemi dziobami i ukrywały w torbie podgardłowej, a potem wypływały na powierzchnię. Na zawołanie Chińczyków przychodziły one jak psy wytresowane, które zdobycz myśliwemu przynoszą, i ryby złowione oddawały Chińczykom, a potem znowu odchodziły aby swą robotę rozpocząć od nowa. Zadziwia to najwięcej, że jeśli który ptak złowi rybę za wielką na swe siły, wtedy jeden z towarzyszów przybiega mu na pomoc, i obaj zanoszą zdobycz do łodzi. Jeżeli który z owych skrzydlatych rybaków okaże się leniwym i hula po wodzie nie pilnując roboty, natenczas jego pan uderza we wodę długim bambusowym kijem, nie naruszając ptaka, i poczyna słowami wyrzucać mu jego nieuważę. W momencie kruk bierze się do swjej pracy, niby roztrzępany uczeń przez nauczyciela do pracy wezwany. W czasie łowienia wkładają krukowi na szyję pierścień, aby złapanej ryby nie mógł połknąć, jednakże z tém trzeba być ostrożnym, żeby się ptak nie udusił.

Z powyższego opisu łatwo poznać, że tak wytresowany ptak jest dla rybaka nieocenionym przewodnikiem, a ztąd téż zwierzęta te już ułożone są drogie. Płacą za sztukę 9 do 12stu talarów. Samo wychowanie już jest mozolne. Jaj bowiem nie dają wylegać starym krukowi, tylko kurom domowym. Młode, skoro



się wylęgłą, wykładają na bawełnę, którą tedy i owedy zléwają ciepłą wodą. Z początku żywią młode krwią węgorza, następnie siekanym węgorza mięsem. Skoro podrosną, natenczas od Października aż do Maja (wtedy jest na południowej półkuli lato) codziennie chodzą z niemi na wodę. Od Maja aż do Października trzeba je znowu starannie pielęgnować. W drugim roku są już zwykle wytresowane.

Ze wszystkich ptaków jedyny jeden rodzaj jaskółczy ma pomiędzy sobą naśladowce pszczół, albowiem jak plastru miodu, czyli gniazdka pszczelnego używa człowiek na swój pokarm, tak i jedna z rodu jaskółek buduje sobie gniazdo, które człowiek za wielki przysmak spożywa. Jaskółka ta nazywa się.

*Salangana* (*Hirundo esculenta*) i żyje na Oceanie Indyjskim, jako téż i w części na Oceanie Spokojnym. Najwięcej ich znajduje się na Archipelagu azyatyckim, mianowicie na Jawie. Jest ona podobną do naszej jaskółki, tylko że cokolwiek większa. Gnieździ się u stóp skał urwistych, w ich szczelinach, i to tylko w takich miejscach, gdzie strome skały wznoszą się bardzo wysoko. Całą jej uciechą jest bujać nad szumiącemi bałwanami, i gniazda swe buduje téż tam, gdzie ryk bałwanów morskich sprawia muzykę podczas wysiadania jajek, a piana pryska aż do niej. Tu u stóp skał, zawsze stromych, wznoszących się setki stóp w górę, gdzie wrzenie morza ciska falami do wysokości 100 stóp, albo wyżej, tu w szczelinach i dziurach znajdują się gniazda milionów salangan. Tu żadna noga ludzka dojść nie może; z góry przepaść 1000 stóp, a z dołu morze bałwanami uniemożliwia wszelkie się zbliżenie.

A jednakże chęć zysku kusi ludzi, którzy wszystkie trudności pokonać umieją. Chodzi tu o podebranie gniazd jaskółczych, które na stole smakoszów indyjskich i chińskich największym są specyałem. Jaskółki te bowiem lepiać takie same gniazda, jak nasze jaskółki, ale nie z

błota, lecz z materyi lipkiej, która się w ciepłej wodzie zupełnie rozpuszcza. Ptaki te żywią się żyłkami, które w morzu łowią, a mianowicie ikrą rybą, którą pilnie we wrzących falach wyszukują. W czasie zaś, kiedy mają budować gniazda, wtedy chciwie połykają porosty morskie, które w ich żołądku zamieniają się na pewien rodzaj galarety, i téj używają jako materyału do budowania gniazda. Są one blade żółte, a w dotykaniu czują się jak niedopieczone ciasto.

Dla tego przysmaczku tysiące ludzi naraża się na niebezpieczeństwo utraty życia, i rzeczywiście setki ludzi je traci. Z dołu na żaden sposób do gniazd dostąpić nie można, tylko z góry. Na drabinach ziemniennych spuszcza się śmiałek kilka set stóp czasem po prostopadłej skale. Jeśli nie ma drabiny, natenczas na linie stósownie długiej, kręcąc się jak kłębek. Na końcu liny jest wewiązane poprzeczne drewno; spuszczający się bierze je pomiędzy nogi i siada na niém, trzymając się drugą ręką liny, do której się dla bezpieczeństwa inną liną przywiązuje. Jako narzędzia ma on w jednej ręce pochodnię, w drugiej długi kij z hakiem na końcu, na plecach kosz do zbierania gniazd, za pasem nóż do zerzynania, prócz tego częstokroć na kolanach synka swego, który ma się wyuczyć tego rzemiosła. Spuszczają się zaś zawsze podczas odpływu morza. Jaskółki gnieźdzą się bowiem poczęści w jaskiniach skalistych, które morze podczas przyływu zaléwa, chociaż nigdy tak wysoko, żeby do gniazda dosięgło. W tych to jaskiniach koniecznie potrzeba pochodni, żeby można gniazda zobaczyć. Są one dla zbierających niebezpiecznemi, lubo rzadko, gdyż tylko w tym razie jeśli morze nagle burzą zahuczy i jaskinią całkiem napełni wodą; wtenczas nieszczęśliwy już stracony.

Spuściwszy się, przepatruje wszystkie kąty i gniazda, zerzniete kładzie w kosz, a kiedy ma dostateczną ilość, natenczas daje znak, aby go w górę windowano. Hak służy mu na to, aby wisząc na linie, mógł się do



skały dociągnąć. Często w takich jaskiniach, gdzie zwykle jaskółki zakładają swe gniazda, mają już zbieracze gniazd porobione rusztowania, na których później stojąc wygodnie gniazda zbierać mogą. Nawet mają oni już swe obwody, które *dziennie* rewidują, i skoro się gniazdo *dojrzeje*, zrzucają. Nie wszystkie bowiem gniazda są dobre, jedne za świeże, a drugie za stare. Najlepsze są te, w których młode zaczynają dostawać pipcie, czyli gdy zaczyna im rósć pierze jeszcze w kształcie kolców miękkich; wtedy gniazda wyglądają blade żółto. Gniazda, w których młode jeszcze są całkiem nagie, są za świeże, a z których już wyleciały, lub młode już się całkiem wypierzyły, mało a nawet żadnej nie mają wartości. Lepsze już tedy całkiem świeże, gdyż gniazda, w których się znajdują jaja niewysiedziałe lub nagie młode, aczkolwiek świeże, *niedojrzałe*, jednakże użyć się jeszcze dają. *Dojrzałe* gniazda są naturalnie najdroższe; najlepsze ze wszystkich idą na stół cesarza chińskiego, i płaci się je złotem. Im gniazdo ciemniejsze, tém tańsze, a jednakże *pikol*, to jest 1000 sztuk gniazd kosztuje w Chinach przeszło 1000 talarów; z najlepszych zaś kosztuje sztuka dukata.

Rocznie trzy razy odbywa się podbieranie. Młode niebożęta wyrzucają barbarzyńsko w morze. Za każdą razą jaskółka lepi nowe gniazdo. Czwarty raz już jój dają pokój i pozwalają młodemu swobodnie się wychować i wylecieć. Zdawałoby się, że ilość tych ptaków musi się zmniejszać, gdy tymczasem tak nie jest. Zapewne mnóstwo ich wylatuje z gniazd, nim człowiek się do nich dostanie; mnóstwo też gnieździ się na miejscach, gdzie ich człowiek dostrzedz nie może, a wreszcie za czwartym lęgiem mnóstwo ich jeszcze na świat przychodzi.

Mówiliśmy, że owe gniazda mają tak wielką wartość ugodną, ale czy rzeczywiście są tyle warte? Bynajmniej. Z góry zdradzimy, że cała wartość polega na złudzeniu, na imaginacyi. Gniazdo dostatecznie

wymyte, moczy się przez 24 godziny w ciepłej wodzie, następnie rozrywa się na drobne kawałki i gotuje z dodaniem korzeni w rosole. Zupa ta jest smaczna, bo rosół z korzeniami doprawny sam w sobie jest smacznym, ale samo gniazdo jest niesmaczném, jałowém, mdłym i nic nie wartém. Przypisują mu zaś własności lékarskie i wzmacniające nerwy, ale to nie prawda.

Dla dogodzenia łakotnisiom chińskim, indyjskim, a nawet i europejskim, mnóstwo ludzi traci życie. Sposób zbierania, jakieśmy opisali, zdaje się być nie nadto niebezpiecznym. Tymczasem rzecz się ma przeciwnie. Liny, chociaż mocne, zrywają się często; jedne przez to, że nie mogą znieść ciężaru, inne się na ostrój skale przeryniają jak nożem. Często spuszczonego się napadają słabość, obłęd, zawrót, i spada w morze, gdzie bałwa ny go natychmiast na wieki przykrywają. Zdarzają się przypadki, że skała, do której przytwierdzona jest lina rywa się i spada na dół, nie tylko wiszącego przyprowadzając o śmierć, ale i stojących u góry przy windach za sobą porywa w przepaść. Tu śmierć w rozmaitych postaciach ustawicznie czyha na dyndającego na linie i krążącego niby kłębek nad falami; niechcący przypadnie gwałtowny wicher, natenczas strzaska wiszącego o skały, zanim go zdołają do góry wyciągnąć.

A jednak przypadki takie nie odstraszą podbieńczy, którzy śmiało rok rocznie puszcza się na tak niebezpieczną wędrówkę. Do tego trzeba im tylko pobudki, a są trzy rodzaje pobudek, zdolnych ich najwyższą napełnić śmiałością. Niemi są: zysk, opium i zabobon. Zysk, ponieważ zarobek niemały pozwala jim prowadzić wygodne życie przez cały czas, kiedy się spuszcza w przepaści nie potrzebują. Jednakże, aby nie dali się odstraszyć grożąciami, oczywistemi niebezpieczeństwami, kupcy i przekupniarze, na kilka dni przed spuszczeniem się, wyprawiają swym — że tak powiemy — ofiarom uroczystości i uciechy, przyczém nie żałują im *opium*, owój gorzałki orientalnój. Opium



wydobywają z główek makowych niedojrzałych, nacinając je na pniu jeszcze nożem. Z nacięcia wypływa sok biały, który na wolném powietrzu tężeje. Ma on własność upajającą. Jedna kuleczka wielkości grochu upoi człowieka więcej, aniżeli kilka kielichów czystej okowity. Wiadomo, że pijany nie zważa na nic i w ogień by nieraz skoczył.

Prócz tego uroczystości te łączą z pewnym obchodem religijnym. Bogom, mieszkającym w grotach i jaskiniach ofiary w tym czasie czynią z kwiatów, owoców, mięsa lub jarzyn. Dzieje się to na ten sposób, że z procesją idąc, niosą na misach ofiary i stawiają je na pewnych miejscach w górach. Te ofiary mają sobie bogowie pozbiierać. Najwięcej czci odbiera teraz w tym czasie „królowa morza“ bogini. Mieszkanie dla niej sporządzają przy domu, gdzie się później mają składać zebrane gniazda. Tu w tym mieszkaniu ustawiają dla niej bardzo eleganckie (według ich wyobrażeń) łóżko, i tu palą jej lampy i kadzidła. A podczas tego, mianowicie w nocy poprzedzającej dzień gniazdobrania, grzmi muzyka, tańce wyprawiają szalone i opium rozdają gniazdobiorcom we wielkiej ilości, aby nazajutrz jeszcze nie mogli zupełnie wytrzeźwieć.

Na ten sposób ludzie na pół pijani spuszczaają się śmiało i śmiało stawiają czoło niebezpieczeństwom.

Z ryb wspominamy tu tylko o *strzelcu*, raczej o *sikawce*. Jest to rybka z długim pyskiem. Będąc zmuszoną żyć we wodzie, a pożywienia szukać sobie po za wodą, odebrała od natury sikawkę, którą niby strzelec flintą, potrafi sobie zdala upolować zdobywcz. Zwykle czatuje nad wybrzeżem, a ujrawszy jakiś owad nad wodą, na skale lub na innym jakim przedmiocie, prysnie na niego strumieniem wody, a owad zmoczony spada i staje się zdobyczą zgrabnego, łuskowatego łowca.

Najważniejszym produktem Morza Indyjskiego są *perły*.

W tropicznych okolicach wszystkich Oceanów żyje muszla, zawierająca w sobie perły. *Perłowa muszla* (*meleagrina margaritifera*, po polsku zwaną inaczej: perłopław), jest wielkości pięści, podobna niedługo do rzecznych lub w naszych jeziorach się znajdujących. Sama perła znajduje w muszli i jest niczym więcej jak wyrostem na wewnętrznej stronie skorupy. Wyrost ten rośnie i zamienia się w kulkę porcelankową. Czasami znajdują się takie kamyki perłowe w muszli zupełnie wolno leżące, nie przyrosłe. Jakim sposobem kamyki te powstają, trudna napewno powiedzieć; różni różnie to tłumaczą. Jedni twierdzą, że zwierzę w jakiejś chorobie wydaje ze siebie ciecz, która osiadając na skorupie twardnie i zamienia się w ową do porcelany podobną masę kamienistą. Inni twierdzą, że w morzu żyje robak, który stara się przebić i prześwidrować konchę, aby się dostać do ciała w skorupie mieszkającego zwierzęcia. Muszla, aby zapobiedz temu, cieczą stara się zagrożone miejsce wzmocnić, a ciecz ta, składana na jedno miejsce, tworzy wreszcie perłę, warstwa bowiem układana na warstwę w jedném miejscu, tworzy wreszcie wyrost, który na małym tylko trzonku wisi przy skorupie, a dalej rozszerza się i wreszcie zaokrągla. Jeszcze inni utrzymują, że w muszle otwartą wpada kamyk lub inny jaki twardy, ostry przedmiot, który muszle uciska; aby się zabezpieczyć przed ostrymi kątami wpadłego przedmiotu, obciaga go muszla cieczą i tym sposobem czyni go gładkim.

Najnowsze jednak badania całkiem inaczej o tém sądzą. Według spostrzeżeń poczynionych, ale co prawda nie całkiem udowodnionych, perłowa muszla podlega takim samym plagom, jak i inne zwierzęta lądowe, to jest, że się na niej zagnieżdża robak, który się żywi jéj sokami. Muszla nie mając ani rąk, ani nóg, ani nie mogąc się opędzić pasorzytowi tarcieciem lub innym jakim sposobem, których zwierzęta członkowate mają tak wiele, ucieka się do ostatecznego środka, to



jest wydziela ze siebie materyą, służącą jój zresztą do budowania konchy, i tą materyą pociąga pasorzyta, przez co go zasklepia na śmierć. Czując potem pomiędzy sobą a konchą grupkę, ustawicznie ją jeszcze okłada perłową cieczą, aż utworzony kamyk staje się za wielkim.

Stosując się do powyższej teoryi, wpadli niektórzy na myśl kunsztownego prowadzenia muszli do tworzenia perły. W tym celu biorą muszlę, otwierają i wpuszczają w nią obcy jaki przedmiot, który rzeczywiście z czasem znajdują powleczonej materyą perłową, przez co staje się perłą, jak każda inna. Do „dojrzenia“ perły potrzeba 7 lat; przed tym czasem są nie-dojrzałe, a po tym czasie muszla je sama z siebie wyrzuca, ponieważ jój są za duże i zanadto miejsca zabierają. Przypuszczają inni jednakże, że to wyrzucenie nie jest dobrowolne, ale przypadkowe; czyli, że nie dzieje się z wiedzą i wolą zwierzęcia, ale jest spowodowane jakim nieprzewidzianym wypadkiem, naprzykład przez nagłe przewrócenie otwartej muszli, przez poruszenie jój lub kulanie, przez zwierzęta podwodne, albo uderzenia falami o skały. Kunsztowne jednakże „zaperlanie“, czyli „szczepienie pereł“ posłużyło do zakładania perłowych „ławic“. Są to pewne miejsca na morzu, które mają dno nie nadto głębokie, ale i nie za miątkie, stósowne do rozplodu muszli. Zwierzę to, pozbawione wszelkich środków ruchu, położone na jakie miejsce, zawsze na niem pozostaje, jeśli to miejsce jest dość głębokie, aby fale dna nie rozruszały. Ławice takie stoją pod dozorem rządu, który co 7 lat ławice owe rewiduje i albo je wydzierżawia do natychmiastowego użytku, albo téż sam połowem pereł się zajmuje. Zdaje się, że muszle tylko do pewnego wieku mogą ze siebie płyn perłowy wydawać, gdyż niektóre ławice całkiem stały się niezdatnymi do użycia, ponieważ muszle są puste. Inne miejsca są w perły bardzo obfite. Ztąd téż, aby przedsiębiorcy i dzierżawcy nie ponieśli nadto wielkiej szkody, każe rząd rocznie

przed połowem rewidować ławice, na porządku rocznym będące, to jest te, które siedm lat leżały nienaruszone. Według rezultatu rewizyi potém następuje zwykle licytacja, jeśli rząd sam połowem się nie zajmie.

Perłowe muszle znajdują się, jak już powiedziano, po wszystkich morzach klimatu tropicznego; najwięcej znajduje się w Oceanie Indyjskim. Główne ławice leżą w zatoce perskiej i przy Cejlonie, ale i bardzo wiele ich znajduje się na Archipelagu azyatyckim, przy Sumatrze, Borneo, Jawie i wszystkich innych wyspach.

Opiszemy tutaj sposób poławiania pereł przy Cejlonie, jako głównym punkcie, z kąd pereły dobywają. Ze wszystkich znowu miejsc przy Cejlonie uważają *zatokę Manaar* za główne zbiorowisko muszli. Tu na kilka mil od lądu ciągnie się pas 24 mile długi, zupełnie muszlami perłowymi zasiany.

Skoro ławice z osobna wydzierżawione, natenczas zaczynają się przygotowania do połowu. Nad wybrzeżami zgromadza się wtedy liczba do 150,000 ludzi rozmaitego koloru, rozmaitej narodowości i rozmaitego języka. Tu obok wykwitnie ubranych urzędników znajdziesz nagiego Indyanina, obok w bieli chodzącego dumnego Cyngala, widzisz potulnego robotnika. Znajdują się tu urzędnicy, kupcy, dzierżawcy, handlarze, robotnicy, pomocnicy, jubilerzy, ślifierze pereł, a przede wszystkim najgłośniejsza kasta... nurki. Na płaszczynie nadbrzeżnej naraz wyrosło ze ziemi miasto; domy, budy, szałas, chaty, to płócienne, to bambusowe, to trzciniowe; gwar, hałas i ruch nie do awierzenia. Na wschodzie, jeśli się zejdzie kilku, to tak głośno rozmawiają, taką sprawiają wrzawę, tak gwałtownie całym ciałem gestykują, że zdaje się, jakoby się znajdowali w najzajadlejszej kłótni i grozili sobie wzajem zapamiętałe. Hałas i wrzawa taka już są nie małe, kiedy tylko kilku ludzi znajduje się razem, a cóż powiedzieć o wrzawie, jaką sprawia tłum stu-tysięcznogardłowy! Niezliczone słupy dymu wzbijają się



pod niebiosa, a zapach sporządzanych potraw napełnia okolicę.

Wreszcie przygotowania zakończone; dzierżawcy pereł, właściciele okrętów, najęli stosowną liczbę majtków, pomocników i nurków, i wreszcie rozpoczyna się połów na miejscach każdemu przez policję wyznaczonych. Czerniawa łodzi odbija od lądu i wypływa ze zatoki na swoje stanowiska. Strzał armatni oznajmia chwilę, w której wolno nurkom skoczyć pierwszy raz w morze.

Łodzie indyjskie są bardzo pojedynczej konstrukcyi, zwykle splecione szczelnie z łyka kokosowego. Chociaż plecionka ta jest bardzo szczelna, jednakże nie tak nieprzepuszczalna, jak kanoety Indyan amerykańskich lub kajaki Eskimosów. Owszem, w każdej indyjskiej łodzi muszą się znajdować osobni pomocnicy, którzy więcej nie mają do czynienia, jak tylko czerpać nasiąkłą wodę — i zaiste, mają ci ludzie pracy ledwo nie nad siły.

Na każdej łodzi znajduje się 10 lub 20 nurków; na mniejszych dziesięć, na większych dwadzieścia; zresztą zależy téż to od głębokości morza. Nie jest to bowiem tak łatwo spuszczać się nieraz 100 stóp we wodę i tam czas niejaki pozostawać bez powietrza. Indyanie nie mogą spuszczać się w kosztownych dzwonach, tylko tak jak stoją. Jedyne, w co się zaopatrują, to jest gębka napuszczona oliwą; w uszy kładą sobie bawełnę, a nos ściskają rodzajem szczypcy, albo téż zatykają bawełną. Gębka wielka napuszczona wisi mu u pasa; skoro nurek chce odetchnąć, przykładają ją do ust. Pory i dziury bowiem w gębce zasklepiają się oliwą, która nie dozwala powietrzu z nich uchodzić i tak, aczkolwiek słabą, jednakże biédnemu nurkowi jakąkolwiek sprawia ulgę. Przedewszystkiém jednakże zaopatruje się nurek w — talizmany; są to liście pewnego drzewa, którym Indyanie przypisują cudowną moc, chroniącą ich od napadu drapieżnych ryb;

Indyanin ufa więcej takiemu talizmanowi, aniżeli długiemu nożowi, którego zresztą jednak ze sobą wzięść nie zaniedbuje, dla odpędzenia rekinów, a nawet i innych nurków, którzy pod wodą umieją prowadzić rozboje.

Nim nurka spuszcza na dno, przypasują mu do bioder sić, w kształcie torby, w którą zbiera znalezione muszle, a do nóg przywiązuje kamień, i potem szybko spuszcza go na dno. Przy każdej linie stoją strażnicy, którzy bardzo pilnie uważają na każde jej drgnienie. Zwykle bowiem najmniejsza nieuwaga sprawia nurka o śmierć, bądźto z uduszenia, bądźto od kłów drapieżnej ryby.

Jak też długo może nurek pod wodą wytrzymać? — Pytanie to długo było nierozstrzygnięciem, według bowiem powieści umieją niektórzy z nurków zabawić pod wodą kwadrans. Według podań sycylijskich żył w XIII wieku nurek *Cola Pesce*, który więcej żył pod wodą, aniżeli na wodzie. Żywił się pod wodą żywymi rybami, a pływać umiał tak szybko, że prześcigał okręty. Inny, *Franciszek de la Vega*, skoczył pono w młodości w morze, i dopiero po piętnastu latach złowiono go w sieci. Ale nie długo cieszone się nim na lądzie, gdyż uciekł i zniknął bez śladu; — zapewne znowu skoczył w morze.(?) Na niektórych wyspach Morza Śródziemnego ma panować zwyczaj, że żadnemu z rybaków, a mianowicie trudniących się połowem koralu, nie wolno się prędkiej żenić, dopóki pięć minut nie wytrzyma pod wodą.

Wszystko to tak brzmi niewiarogodnie, że wreszcie dr. *Lefèvre* postanowił zbadać tę sprawę i przekonać się, ile w tych powieściach prawdy. Do tego nadarzyła się sposobność. W porcie *Navarino* zatonała flota turecka; aby ile można z kosztowności wydobyc z głębi morza, zwołano mnóstwo nurków, którzy mieli na dnie morza pracować. Wykazało się, że wieści o ich wytrzymałości były przesadzone; żaden z nich nie



wytrzymał nawet *dwóch* minut, a liczba sekund przecięciowa, jak długo mogli pod wodą zostawać, wynosiła siedemdziesiąt i sześć. Jeśli który z nich dłużej pod wodą zabawił, natenczas skoro dostał się na powierzchnię, płynęła mu krew' z ust i nosa, a nawet i z oczu. Jednakże żartowali sobie z tego, gdyż na godzinę, pomimo płynienia krwi, rzucali się czasem cztery razy w morze.

Żeby Indianie mogli być większymi wirtuozami w sztuce przebywania pod wodą, na to nie ma żadnych dowodów — są oni, jak i wszyscy ludzie, podlegli ogólnemu prawu. Tak u nich jak i u wszystkich ludzi oddychanie odbywać się musi, a zatem nie można przypuścić, żeby Indianie mieli umieć dłużej nad dwie wytrzymać minuty.

Spuszczony na dno morza nurek rzuca się na twarz i zaczyna odrywać muszle od dna to rękoma, to nożem. Nie przebiera on tam, ale chwytą, co mu wnidzie pod rękę. Skoro się sieć napełni, albo gdy uczuje już potrzebę odetchnienia, natenczas daje umówiony znak liną, aby go wyciągnąć. Jeżeli strażnik przy linie na znak ten nie uważał, natenczas śmierć nurka czeka niechybnie, albowiem nurek zwykle dopiero daje znak, gdy mu gwałtowna potrzeba. Rzadko się jednakże zdarza, aby coś podobnego zaszło; ale zdarza się to, jeśli kto chce się na nurku zemścić — przypadki takie zachodzą. Kiedy nurek stanie w łodzi, natenczas odbierają mu sieć, a on sam pada w kął łodzi i tam przez niejaki czas leży nieruchomie, nie mogąc nawet słowa ze zmęczenia przemówić. Wytchnąwszy rzuca się napowrót w morze. Czynność tę powtarza on trzy lub cztery razy na godzinę, wynosząc ze sobą zwykle po 100 muszli. Dobry nurek może na dzień 50 razy odbyć podróż na dno morza; aż wreszcie rzuci mu się krew' ustami i nosem, i dalszych wycieczek zaniechać musi.

Tak mozolną pracę opłacają przedsiębiorcy małemi tylko pieniędzmi; najczęściej zaś przypuszcza się w zapłatach nurka do działu, tak że pewną ilość razy zanurza się dla pana, a raz dla siebie. Przytém bardzo pilnie rewidują nurków, aby nie oszukali i nie schowali sobie pereł. Pomimo tego umieją oni na dnie morza wyszukać perłę i połknąć ją, mianowicie na dnie znalezioną, co się często zdarza.

Że nurek nie przebięra pomiędzy muszlami, tylko chwyta, co mu pod rękę podpadnie, przeto nikt wiedzieć nie może, co wyniósł do łodzi. — We wielkich muszlach częstokroć nie ma ani jednej perły, \*podczas gdy znowu w drobnych mogą się ładne znaleźć okazy. Na dnie morza nie ma czasu odbywać rewizyi, tylko brać, co się nadarzy, a śpieszyć się. Dopiero w łodzi następuje rozgatunkowanie podług wielkości. Ostatnia czynność czasem się tylko odbywa, gdyż jak już powiedziano, nie można nigdy wiedzieć, które muszle zawierają perły, bo one są wszystkie szczelnie zamknięte, a ztąd gatunkowanie nie ma prawie żadnego znaczenia.

Wreszcie łodzi zbliżają się do lądu, gdzie wszystko z gorączkową wyczekuje niecierpliwością. Tu znaleźli się już kapłani indyjscy z czarnoksiężnikami, i tak jedni jak i drudzy zaklęciami swemi starają się nakłonić morze do zachowania się spokojnie, a rzucaniem, paleniem i tarciami amuletów wypraszają łaskę bogów dla nurków. Nawiasem powiedziawszy, nie wiele to nurkom pomaga, gdyż znaczna ilość tych biédaków ginie, bądźto z uduszenia, bądźto w paszczy rekinów, bądź téż od wyziewów zabijających, które perłowe muszle ze siebie wydają.

Skoro łodzi przybiją do brzegów, wszystko się ciśnie, aby zobaczyć, jak się połów udał, ile przywieziono. Nie każda bowiem łódź ma równe szczęście. Nurek częstokroć znajdzie wielką obfitość muszli, tak że w przeciągu czasu, jak może pod wodą bez oddy-



chania wytrzymać, całkiem się swą napełni, do czego potrzeba zwyczajnie stu muszli; ale się też zdarza, że zanurzenie się jego było całkiem próżne, albo ledwie tylko kilka znalazł muszli — i to jeszcze czczych. Ztąd też dzierżawcy ławic perłowych lub właściciele łodzi ciekawi, czy zarobią lub czy stracą na tegorocznym połowie.

Rozpoczyna się teraz handel tak perłami już z muszli dobytymi, jako też i muszlami jeszcze nieotworzonymi, które się kupują i sprzedają na chybił trafił. Tym rodzajem handlu trudnią się mniej dzierżawcy połowu; na ten sposób handlują zwykle tylko właściciele łodzi, robotnicy, pomagacze i nurki, których wszystkich zapłata są zwykle tylko perły. Ludzie ci nie zatrzymują pereł na spekulacyą, to jest nie czekają, dopóki nastąpi szlifowanie i polerowanie, ale natychmiast je pozbywają za fraszkę. Naprzykład pozbywają perły za kilka polskich groszy, która za pięć minut, skoro ją wypolerują i przedziurawią, kosztuje do trzydziestu talarów.

Wspomnieć tu należy o innym handlu muszlami perłowymi zaraz jeszcze nad morzem. Jest to gatunek loteryi. Właściciel perłowych muszli odkłada pewną ich ilość na kupkę i puszcza na losy, albo każe wygrywać w kostki, lub inny jaki z rozlicznych tego rodzaju sposobów. Oczywiście, że często za bardzo drobną cenę można w momencie stać się bogaczem, gdyż w jednej tylko muszli może znajdować się perła wartości kilku lub kilkunastu tysięcy talarów. Prawda, że rzadko się to zdarzy. Jednakże przez loteryą nurki i pomocnicy więcej pieniędzy dostają, aniżeli gdyby rycałtem sprzedawali swe muszle; kilku razem łatwo da się nakłonić do ryzykowania drobnostki pieniężnej, ale sakupić za większą sumę nikt się nie odważy. Muszle mają znaczną siłę, i tak mocno obie pokrywy konchy zamkną, że ich otworzyć nie można. Nikt tedy nie wie, ile tam pereł, lub czy w ogóle jakie się w

muszli znajdują. Często i bardzo często w całej kupie ani jednej nie ma perły, lubo znowu na innej małej kupce w każdej muszli może się znajdować siedm do jedenastu perłowych kamyków.

Dzierżawcy lub właściciele ławic perłowych, którzy połów pereł na większą odprawiają skalę, nie sprzedają muszli, ale sypią je na kupy i wystawiają na żar słońca. Muszle, jako zwierzęta wodne, wkrótce umierają i same się otwierają. Ponieważ jednak trzeba kupy takiej strzedz przed złodziejami, dla tego częściej jeszcze wkładają świeże muszle w beczki, które potem szczelnie zabijają. W kilka dni muszle zgniją i perły albo wypadają, albo też pozostają przyrosłe do konchy. Następuje teraz najgorsza i najbrzydsza robota. Niczem jest spuszczenie się na dno morskie obok pracy i grzebania w zgniliznie z ciał muszlowych, które tak w koło wyziwiają choleryczne powietrze, że robotnicy co chwila mdleją, a niektórzy i śmiertelnie zachorują. A jednak to konieczną, gdyż inaczej nie znalazłoby pereł.

Perły są trojakiemu gatunku: zupełnie drobne, większe i dochodzące wielkości wiśni. Ostatnie znowu gatunkują na okrągłe, tańsze, i gruszkowate, najdroższe. Konchy perłowej muszli, zwaną *perłową macicą*, używają do wykładania rozmaitych rzeczy, naprzykład, noży i rozmaitych innych.

Pokrótko uczynimy tu historyczną wzmiankę o perłach, o ile nam starczy miejsca.

Już w najdawniejszych czasach znano perły i używano ich do stroju. Na wschodzie dawnemi czasy perły miały wartość dyamentów. Opowiadają, że perła, to jest *kropla nieba*, która spadszy, dostaje się do muszli i tam twardnieje. Indyanie opowiadają, że bóg *Kriszna* był pierwszym, który zrobił zastosowanie pereł, albowiem znalazłszy je w morzu, ustroił w nie swą córkę *Pandaję*. Pismo św. wspomina w księdze Job. 28, 18. o perłach, a Salomon czyniąc o nich wzmiankę, mówi,



że „mądrość i cnotliwa żona lepsze są od kosztownych pereł“.

Jak już powiedziano, szczególnie na wschodzie perły miały wielką wartość. W Chinach płacono nawet niemi podatek, a nie było pomiędzy wszystkimi posągami bogów może ani jednego, któryby tak u Chińczyków jako i Indyan nie był ustrojony w perły. Kleopatra, ostatnia królowa egipska, posiadała dwie naówczas największe i najkosztowniejsze perły, które nosiła jako zausznice. Pewnego razu oświadczyła, że mogłaby wyprawić sobie i spożyć ucztę, któraby kosztowała 550,000 talarów. Nie chciano jej wierzyć, ztąd Rzymianin Antoniusz założył się z nią nawet, że tego nie dokona. Na czas oznaczony Kleopatra wyprawiła ucztę, ale nic nie okazywało, aby Kleopatra mogła słowa swego dotrzymać, ponieważ stół wcale nie był wystawnie zastawionym. Antoniusz sądził, że napewno jego będzie wygrana, wreszcie nadeszły wety po wcale skromnym obiedzie. Za całe wety postawiono przed Kleopatrami naczynie... z octem. Kleopatra z uśmiechem wyjęła jedną perłę ze zausznicy wartości setki tysięcy talarów i wrzuciła ją w ocet, w którym się perła rozpuszcza w momencie. Skoro się perła rozpuściła, Kleopatra ocet z naczynia wypiła, a kazała powtórnie nalać octu, zamierzała i drugą rozpuścić perłę, czego a-toli Antoniusz nie dopuścił, uznając się zwyciężonym.

Jak większe okazy pereł są drogie, niech posłużą następujące daty. Juliusz Cezar kupił perłę za 330,000 talarów. Kaligula, cesarz rzymski, miał strój perłowy wartości 1½ miliona talarów. Papież Paweł II kupił perłę za 140,000 dukatów.

I w Polsce perły były ozdobą tak mężczyzn jako i niewiast. Wystawność i kolosalne majątki Polaków dają przypuszczać, że i tu pomiędzy magnatami znajdowały się perły wielkiej wartości. Kontusze ozdobne były perłami, a pochwy do szabli formalnie nabijano niemi.

W rejestrze szat i strojów królowej polskiej Jadwigi czytamy, że nawet kożuchy miała złotem i perłami lamowane. Katarzyna, królowa polska, małżonka Zygmunta Augusta, posiadała niezliczoną ilość pereł, pomiędzy którymi 11 wielkich „jak gruszki“ według spisu z dnia 8go Sięrnia 1553. Perły te gruszkowate były nieocenionój wartości.

Tak jak inne rzeczy, tak i perły podlegają modzie. Pokup ich coraz się zmniejsza, albowiem z czasami nastają i nowe wyobrażenie i nowe wymagania.

---

## Przeprawa Nordenskjölda

przez Cieśninę Beringską w r. 1879.

Nasza przystań zimowa znajdowała się na północnej części azyatyckiego wybrzeża cieśniny Beringskiej, na 67<sup>o</sup>. 7' północnej szerokości i 173. 5<sup>o</sup> zachodniej długości od Greenwich. Poblizki ląd stanowi rozległą, nieco pagórkowatą powiérzchnią, na południe otoczoną dalekimi, stopniowo wznoszącemi się grzbietami gór które dalej nieco wedle zeznań tuziemców mają dochodzić do znacznej wysokości. Płaszczyzna otoczona jest po większej części rozległemi lagunami, oddzielonemi od morza przez niskie piaskowe wały, narzucone uderzaniem fal i lodów.

Za naszym przybyciem ziemia była zamarznęta i pokryta szronem, lecz pozbawioną śniegu, tak że nasi botanicy nie mogli wyrobić sobie pojęcia o dotychczas nieznanój florzé téj okolicy. Blizko pobrzeża znajdowały się gęste zagony Elymosu, urozmaicone znaczną ilością rośliny zwanéj *Halianthus peploides*. Dalej ciągnęła się ziemia jałowa żwirowata. Ku południowi dostrzegliśmy okolicę otoczoną lagunami i jeziorkami, których brzegi pokryte były gęstym kobiercem traw. Dopiero na



wzgórzystym łądzie, gdzie pokłady brunatnego wapna wytworzyły bogatszą ziemię od piaszczystych wałów usypanych przez morze, wegetacya bardziej jest urozmaiconą. Tu rosły w lecie wznosząc po wysuszonych i zamarzniętych pozostałościach wegetacyjnych, różnego rodzaju jagody, jak żórawiny i t. p.

Na nieprzyjemnych płaszczynach piaszczystych, oddzielonych od morza lagunami, znajdują się dwie czukczuckie wioski. Jedna, leżąca bliżej dawniej przystani zimowej *Vegi*, nazywa się Pitlekaj. Składała się pierwotnie z siedmiu chat, wskutek zaś braku żywności mieszkańcy tutejsi przenosili się stopniowo, ostatni w miesiącu lutym, w okolice obfite w ryby blisko cieśniny Beringskiej. Podczas tego przesiedlania się zabierano z sobą tylko to co niezbędne, gdyż zamierzono w porze myśliwskiej wracać do Pitlekaj. Druga kolonia, Lintretlen, mieści się bliżej zatoki Koluczyńskiej i za naszego pobytu również liczyła siedm chat, których mieszkańcy lepiej zdawali się być zaopatrzonymi niż pitlekajscy. W czasie jesieni mieli lepszy połów, obfitsze zgromadzili zapasy i dla tego niektórzy tylko na zimę ją opuszczali. Dalsze kolonie znajdowały się w prawdzie w większej nieco odległości od naszych leż zimowych, jednakże mieszkańcy ich bardzo często nas odwiedzali; Pidlin, na wschód od zatoki Koluczyńskiej o czterech chatach; Koliuczyn na wspomnioniej wyspie, chat dwadzieścia pięć; Ryrainop, sześć kilometrów od Pitlekaj, dziesięć chat, z których w lutym pozostało tylko sześć. Mieszkańcy pozostałych chat poszukiwali w zimie lepszej miejscowości do połowu ryb i bardziej na wschód położonej.

Trudno obliczyć, ile w każdym domku mieściło się osób, gdyż Czukczowie wciąż wzajemnie się odwiedzali na pogawędkę. Przecięciowo przyjąć można 5 do 6ciu osób na chatę. Doliczywszy mieszkańców wyspy Koluczyn, liczba Czukczów w pobliżu naszej przystani zimowej wynosiła około 200 ludzi.

Gdy lód nas otoczył, okazał się on w pobliżu po-brzeża tak słabym, iż z trudnością zdołałby utrzymać jednego człowieka. Wielką więc była trudność przedostania się z lądu na nasz statek przy pomocy środków, jakimi Czukczowie rozporządzali. Gdy nas Czukczowie poraz pierwszy ujrzeli, powstał wielki ruch między niemi. Mężczyźni, kobiety, dzieci i psy — wszystko biegło skwapliwie nad brzegiem. Obawiali się widocznie, aby nie stracić wybornej sposobności dostania sposobem zamiany wódki i tytoniu. Usiłowano kilkakrotnie wysadzić łodzie, nareszcie udało im się wysunąć na wodę wolną od lodu, prowadzącą wprost do naszego statku, łódź napełnioną mężczyznami i kobietami, bez względu na widoczne niebezpieczeństwo wskutek przeciążenia.

Pierwsze to spotkanie wywołało obustronną radość, tworząc sposobność do zawiązania życzliwych stosunków między Czukczami a nami, które też utworzyły się niezmiennie przez cały czas naszego między nimi pobytu. Wieść o przybyciu zadziwiających cudzoziemców rozbiegła się bardzo szybko. Wkrótce też odwiedzili nas mieszkańcy najodleglejszych wiosek i *Vega* stała się miejscem wypoczynku, na którym każdy przejeżdżający swym psim zaprzęgiem zatrzymywał się kilka godzin. Chodziło im nietylko o zaspokojenie ciekawości, ale i o otrzymanie towarów, cieplej strawy, tytoniu i *rumu* (wódka w języku Czukczów). Jakkolwiek częste i liczne były ich odwiedziny nie zauważyliśmy, aby nam coś zginęło! Lud ten odznacza się podobnąż uczciwością jak Lapończycy. Natomiast wkrótce zaczęli się nam naprzykrzać żebraniną. Niemniej usiłowali przy zamianie produktów wyciągnąć z nas wszelkie możliwe zyski. Drobnie oszustwo uważają Czukczowie widocznie jako pewnego rodzaju godną pochwały zręczność. Często np. sprzedają parę razy jeden i ten sam przedmiot i skorzy są do obiecanek, których nie dotrzymują. Raz znowu sprzedali nam zająca odartego ze skóry bez nóg



i głowy, który następnie okazał się lisem; to też komiczném było ich zadziwienie, gdyśmy ich o oszustwie przekonali.

Zupełna nieznajomość pieniędzy u Czukczów i nieznaczny zapas towarów zamiennych, któreby odpowiadały ich gustowi, zmusiły nas do utrzymywania części naszych wyrobów w wysokiej cenie. Zwykłych przedmiotów handlu krajów podbiegunowych: skór i słoniny wcale nie kupowaliśmy, ku wielkiemu zdziwieniu miejscowej ludności. Natomiast nabyliśmy drogą zamienną zupełny zbiór broni, odzieży i sprzętów domowych. Wszystkie podobne zbiory zostały wyłącznie na rachunek ekspedycyi nabyte, gdyż w ogóle zbieranie przyrodniczo-histerycznych i etnograficznych przedmiotów dla celów prywatnych było zupełnie zabronioném.

Czukczowie zasmakowawszy w naszych potrawach, wydobywali, zwłaszcza gdy łowy ich chybiły, wszelkie możliwe kości wielorybie na brzeg, które u nas na chleb zamieniali. Przy podobnej sposobności płaciliśmy za furę drzewa dwa do trzech okrętowych sucharów, czyli około 250 gramów chleba. Kucharz nasz stał się ich patronem opiekuńczym, od którego w zamian za różne usługi otrzymywali większą połowę pozostałego jadła.

W czasie zimy rozdzielano między nich tak znaczną ilość pokarmów, tak że w znacznym stopniu przyczyniliśmy się do ulżenia ich głodu, który groził ludności miejscowej, w czasie najwyższego natężenia zimowej pory. Między ludnością zamieszkałą obok naszej zimowej przystani nie było ani jednego chrześcijanina. Żaden z nich nie mówił językiem europejskim; co najwyżej ten i ów znał kilka wyrazów angielskich i pozdrowienia w języku rosyjskim. Była to okoliczność nader nieprzyjemna, która nam wiele przysparzała trudności; to też porucznik Nordquist postanowił poznać ich język, a przystąpił do rzeczy z taką skwapliwością, że po upływie kilku tygodni mógł się z nimi poro-



zumić. Mam nadzieję, że porucznik Nordquist powróciwszy do kraju nie oміszka publikować obszerniejszego słownika tego małego znacznego języka i wskazówkę jego gramatycznej budowy.

Czuczkowie pewnego razu po obfitym połówie na morzu oddali się wypoczynkowi wedle przyjętego w podobnych razach zwyczaju. Spostrzeżono też wtedy 45 morskich psów (*phoca hispida*) w jednej chacie, prócz całych stosów połów słoniny, które pod ścianami poskładano. Dzieci które w ciągu ostatnich tygodni bardzo schudły, poczęły szybko nabierać ciała, a toż samo zauważono u starych osób. Pokład naszego statku stanowił miejsce zebrania dla całych zastępów mężczyzn, kobiet i dzieci. Wiele z nich spędzało tu większą część dnia przy temperaturze 40 stop. Celsiusa. Jakkolwiek nie czuli już niedostatku, z chciwością jednak garnęli się do europejskich potraw. Prócz wielu innych etnograficznych przedmiotów, uzyskałem w zamian za jado proste rysunki, rzeźby z kości i wzory, które znaczne rzucają światło na sztukę imitacyjną i smak ludzi, należących jeszcze prawie do epoki kamienną. Różne sprzęty kamienne używane są do dziś przez Czuczów. Byłoby rzeczą bardzo pożądaną wynaléć punkt wyjścia do osądzenia paleontologicznych rysunków, które w ciągu ostatniego dziewięciolecia tak wielką zwróciły uwagę w świecie uczonym.

Dnia 6 Października rano złożył nam wizytę naczelnik Czuczów, Wasili Menka. Był to mały brunet o wychudłej twarzy, odziany w piękny biały reniferowy kozuch, z pod którego wyziérała niebieska flanelowa koszula. Aby od razu zbudzić w nas poważanie dla siebie, zajechał jeszcze po niezupełnie pewnym lodzie w saniach ciągnionych nie przez psów, lecz przez własnych jego poddanych. Po przybyciu przedstawił nam natychmiast dyplom swój godności i różne inne świadectwa, że opłacił wszelkie podatki złożone z kil-



ku czerwonych futer lisich, wartujących po rs. 1 kop. 80. sztuka i kilku białych po 40 kop. sztuka.

Czytać i pisać naczelnik ów nie umiał, zaś język rosyjski znał słabo i trudno go téż było zrozumieć, natomiast szybko zrozumiał znaczenie mapy, na której z wszelką pewnością wskazał nam znaczną liczbę godnych uwagi miejscowości, znajdujących się w północno-wschodniej Syberyi. O monarsze rosyjskim nie miał pojęcia ów pierwszy dygnitarz téj miejscowości; wiedział jednakże, że bardzo wpływowa osobistość rezyduje w Irkucku. Z początku bardzo skwapliwie żegnał się znakiem krzyża wobec niektórych fotografii i miedziorytów, które znajdowały się w kajucie, przestał jednakże się żegnać zauważywszy, że my tego nie czynimy. Menka miał do usług dwóch bardzo prosto odzianych mężczyzn, odznaczających się bardzo skośną budową.

Słudzy ci zaraz po przybyciu ofiarowali nam jako dar powitalny dwie pieczenie reniferowe. W zamian za to dałem mu wełnianą koszulę i kilka paczek tytoniu. Menka opowiadał, że nazajutrz udaje się do Markowy, miejscowości zamieszkanéj przez Rosyan nad rzeką Anadyr, w pobliżu starego Anadyrska. Jakkolwiek nie straciłem nadziei wydostania się z lodu w jesieni, jednak chciałem skorzystać z téj sposobności, aby do domu przesłać wiadomość o położeniu i stanie *Vegi*. Na pisano więc list w języku rosyjskim z prośbą do generał-gubernatora w Irkucku, aby osnowę listu owego zakomunikował szwedzkiemu królowi Oskarowi. Równocześnie umieszczono kilka prywatnych listów między deszczułki i wszystko to powierzyliśmy Mence z napomnieniem, aby korespondencye doręczył władzom rosyjskim w Markowie. O ile mi wiadomo, listy owe doszły do właściwych osób.

Następnego południa odwiedził nas znowu wielki ów uczony przywódzca Czukczów, przyczém nowe zamieniono podarki. Przyjęliśmy Menkę bardzo serdecznie, który na ostatku puścił się w tany po części solo,

po części w gronie swych towarzyszy, ku wielkiej radości obecnych Europejczyków i Azyatów.

W czasie naszych zimowych leż — pisze słynny podróżny — dowiedzieliśmy się od Czukczów, że na południe od Wschodniego Przylądka żyje plemię pokrewne z Eskimosami, które dawnemi czasy zamieszkiwało cały półwysep. Gdyśmy ostrożnie popłynęli w okolice Wschodniego Przylądka wśród gęstej mgły, ucieszyliśmy się niewymownie, spostrzegszy skórzaną łódź z 20 lub 30 tuziemcami. Gdy jednakże ludzie ci dobili do brzegu, przekonaliśmy się, że to byli starzy nasi znajomi, którzy nas odwiedzili jeszcze w naszych zimowych i leżach zawiadomili nas, że *Ankalów*, (wspomniane plemię) spotkamy poniżej zatoki św. Wawrzyńca. Mianem Ankalów oznaczają reniferowi Czukczowie pobrzeżnych Czukczów. Co zaś do Eskimosów, jeśli ci kiedykolwiek kraj ten zamieszkiwali, to chyba w zupełności narodowość swą zatracili, gdyż w ciągu ostatniego pół wieku ztamtąd ich nie wyparto.

Zaznaczyć tu wypada kilka zajmujących etnograficznych szczegółów, gdyż twierdzenie o przybyciu Eskimosów do Ameryki z Azji polega na przypuszczeniu, że całe azyatyckie północno-wschodnie wybrzeże zamieszkałe było niegdyś przez Eskimosów. Aby uniknąć nieporozumienia — powiada dalej Nordenskjöld — dodam, że wedle wiarogodnych rosyjskich źródeł prawdziwe plemiona Eskimosów dotychczas jeszcze mieszkają nad ujściem Anadyru i że angielscy pisarze błędzą, utożsamiając Eskimosów z Czukczami pod względem ich pochodzenia. Porucznik Nordquist z wielką skwapliwością dokonał zbioru wyrazów czukczońskich w licznie około 1000. Nie dziwiłbym się wcale, gdyby filologowie ze słowniczka Nordquista wykazali, że język Czukczów bardziej jest pokrewny z językiem jednego z irańskich ludów, niż narzecze któregośkolwiek z innych azyatyckich lub amerykańskich podbiegunowych ludów. Mimo podobieństwa sprzętów domowych Czuk-



czów i Eskimosów, co pochodzi z podobieństwa zwyczajów, nie można między nimi dopatrzeć się związków jednoplemiennych.

Z powodu znacznej masy lodu trudno nam było dłużej się zatrzymać w zatoce św. Wawrzyńca, to też spocząwszy przy wiosce Nunamo, puściliśmy się dalej 21 Lipca, po południu. Między górą a morzem znajdowało się 50 — 100 stóp wysokości mające pobrażone wzgórze, na którym widniało około 10 chat i roślinność niezwyklej bujności.

Bok góry miejscami pokryty był śniegiem, a z jego szczytu widać było wyraźnie kry płynące w Cieśninie Beringskiej od strony Azyi. Dr. Stuxberg wdarł się na wierzchołek poblizkiej góry, gdzie znalazł ciało tuziemca umieszczonego w grobie kamiennym wedle zwyczaju Czukezów. Obok trupa leżały połamany karabin perkusyjny, lanca, strzała, gwizdawka, krzesiwo, parasol od śniegu i inne sprzęty potrzebne niebożczykowi w przyszłym życiu wedle przekonań tuziemców. Ciało to leżało na tém miejscu przynajmniej od roku. Gwizdawka należała do rodzaju niezliczonych holenderskich glinianych świstawek, które przedtém już rozdzieliliśmy między Czukezów; złożono ją tu widocznie znacznie później od innych sprzętów.

Budowa chat w Nunamo tém głównie różni się od poprzednich, że krókwie wiązano tu kośćmi wielorybiami; z tegoż samego materiału były różne domowe sprzęty.

Przed drzwiami chat leżały znaczne stosy świeżych zielonych gałązek wiérzby, otoczone kobiętami i dziećmi, które chciwie zajadały liście. W innych miejscach nagromadzono całe worki ziół na zapasy zimowe. Niestudnie więc utrzymują, że Czukezowie są ludem żyjącym wyłącznie zwierzyną.

Z Nunamo skierowaliśmy się ku portowi Clarence, po amerykańskiej stronie Cieśniny Beringa. Dnia 22. Czerwca zarzuciliśmy kotwicę. Port Clarence jest wielką do-

skonałą przystanią tuż od zachodniego wierzchołka Ameryki. Była to pierwsza prawdziwa przystań, do której *Vega* od 18 Siępnia poprzedniego roku wpłynęła.

Dotychczas wystawioną była ona w przystaniach wciąż na burze i uderzania bałwanów. Port Clarence oddzielony jest od morza żuławą; na północ od tej ostatniej znajduje się obszerny wjazd. W samej przystani znajduje swe ujście rzeka, która nieco dalej wśród łądu tworzy małe jezioro. Góry znajdujące się w głębi wznoszą się do wysokości dwóch lub trzech tysięcy stóp; w niektórych dolinach, do których słońce nie ma przystępu, śnieg jeszcze leżał. Sądziłem, iż znajdę tu pozostałości dawnych lodowców, lecz zawiodłem się; również nie spostrzegliśmy tu przedpotopowych resztek ze świata roślinnego i zwierzęcego.

Ledwie zdołaliśmy zarzucić kotwicę, gdy nadbiegło kilka kobiet, mężczyzn, dzieci i psów. Ludzie ci należeli do plemienia Eskimosów i zupełnie nie znali języka Czukczów. Poznaliśmy tam Czukeczankę, która zawiadomiła nas, że prawdziwe plemię Czukczów mieszka między Barrow a przylądkiem ks. Walii. Niektórzy mężczyźni rozumieli nieco po angielsku, a jeden z nich zwiedził parokrotnie San-Francisko i Honolulu. Większość tuziemców mieszka w chatkach, zbudowanych z materiału bawełnianego; niektórzy używali europejskiej odzieży. Kobiety miały twarze tatuowane. Mężczyźni nosili wąsy, niektórzy zupełne brody; inni znów pod kątami ust mieli duże na 6—7 milimetrów wielkości dziury, z których widniały kawałki szkła, kości i kamieni. Jedna z młodych dziewcząt miała otwór w ścianie nosowej, w której błyszczała wielka niebieska perła.

Od północnej strony przystani natrafiliśmy na ślady europejskiej lub amerykańskiej topielni tranu. Niedaleko stąd znajdowały się dwa grobowce Eskimosów. Ciała leżały na otwartym polu, zapełnionym z tego powodu licznymi kijami, wbitemi w ziemię. Przy jednym



z trupów zauważyliśmy nabitą dubeltówkę, inną broń, krzesiwo, odzież, trzewiki, puhar, z drzewa rzeźbione robaki.

Ręce i nogi tuziemców odznaczają się drobnemi kształtami; większą odznaczają się oni czystością od Czukczów, a w chatach ich większy panuje porządek i ochędóztwo.

Jako dowód przemyślności Amerykanów w zachwalaniu swych towarów wspomnieć muszę, że podczas pobytu naszego w przystani pewien Eskimos przybył do naszego statku i pokazał nam kawał zadrukowanego papieru z anonsem, w którym jakiś dom handlowy w San-Francisko poleca *Sporting gentleman in Beringssand* swoje zapasy wybornego myśliwskiego śrótu.

Podobnie jak po europejskiej, tak téż i po amerykańskiej stronie zachodniego wybrzeża przepływa ciepły prąd morza, czyniąc znacznie łagodniejszy klimat, niż nad wybrzeżem azyatyckim, w pobliżu leżącym. To téż granica drzew sięga w północno zachodniej Ameryce daleko ku północy, podczas gdy półwysep czukczoński prawie zupełnie jest nagi. Wprawdzie i przy forcie Clarence wybrzeże jest nagie, lecz posuwając się o kilka kilometrów w głąb, znajdujemy krzaki łokciowej wysokości, a po za pobrzeżnemi górami muszą prawdopodobnie być lasy. Porost roślin był w ogóle bardzo bujny i często nam przypominał skandynawską naszą północ. Zwierząt lądowych i ptastwa bardzo tu niewiele.

Dnia 26go Lipca o 3ej po północy *Vega* ruszyła z miejsca przy pięknej pogodzie i powiewie przyjaznego wiatru. Popłynęliśmy ku cieśninie *Senjawina*, leżącej między kilkoma większemi wyspami a półwyspem Czukczów. W ciągu téj podróży kilkakrotnie zanurzyliśmy ołowiane puszczałło celem zaczerpnięcia wody i przekonania się o jój głębokości i solnej zawartości morza w tém miejscu.

Dnia 31go Lipca dotarliśmy w Azyji już do wyspy św. Wawrzyńca, gdzie zarzuciliśmy kotwicę. W ogólności masy lodowe ciągnące się od Morza Podbiegunowego przez cieśninę Beringską są nieznaczne, a główne masy lodu, które się napotyka po stronie azyatyckiej na wiosnę, powstają widocznie nad wybrzeżem.

Dnia 2go Siępnia popłynęliśmy dalej, kierując się z początku ku wyspie Karagińsk nad wschodniem wybrzeżem od Kamczatki, aby tam poczynić niektóre obserwacye; wszelako wiatr przeciwny zmusił nas do porzucenia tego zamiaru. Skierowaliśmy się przeto ku wyspie Beringskiej, nad której północno zachodniem wybrzeżem zarzuciliśmy kotwicę dnia 14go Siępnia.

Wyspa Beringska tém się mianowicie wślawiła, że podróżnik Behring po ostatniej swjej nieszczęśliwej podróży na wodach, noszących jego nazwę d. 19go Grudnia 1741 r. zakończył swoje naukowe obserwacye wkrótce po uderzeniu o skały jego statku, podczas burzy w stronie północnej od wyspy.

Dnia 19go Siępnia wieczorem opuściliśmy znowu wyspę Behringa, a 2go Września wieczorem zarzuciliśmy kotwicę w przystani Yokohamy.

---

## Beduin.

Karawana pielgrzymów wychodziła z bram Diarbeku. Na czele jój jechał na bogato ubranym koniu Osman, i rzucał pieniądze odprowadzającemu go narodowi. Imani czyli duchowieństwo błogosławili odchodzących pielgrzymów, mieszkańcy usypali im drogę kwiatami.

Szósty raz już Osman odprawiał pielgrzymkę do świętego miejsca Mekki, mając dowództwo nad ochronną strażą. Wszyscy byli pewni, że i tą razą szczęśliwie zakończy się wyprawa; albowiem jeszcze ni-



gdy nie spotkało Osmana nieszczęście, wiatry nie zasypały w puszczech Arabii ani jednego człowieka z pod opieki Osmana, ani razu koczujące plemiona Arabów nie napadły na niego. Takie szczęście przypisywali wszyscy Osmanowej nabożności, jego mężstwu i miłosierdziu.

W kilka tygodni po wyjeździe z Diarbeku, karawana zbliżyła się do sławnej niegdyś w starożytności rzeki Eufratu. Przy śpiewie więrszy z alkoranu przeprowadzili się pielgrzymi przez ową rzekę, wstępując w piaszczyste równiny Arabii. Tu przyłączył się do karawany na pięknym karym koniu Beduin\*), który tak samo jechał oddać pokłon kolébce i grobowi Machometa.

Osman zaczął z nim rozmowę o wyższości swego narodu. Beduin odpowiadał krótko lecz trafnie; chwalił co godne pochwały w swoim narodzie, ganił zaś to, co zdawało mu się złém.

Zajęci rozmową nie zauważyli nawet, że pozostali się kawał w tyle od karawany. Osman jednakowoż zaczął z zapałem wychwalać swoich Ottomanów. Turcy — mówił on do Beduina — są oddawna sławni z swego mężstwa, wspaniałomyślności i miłosierdzia; rzadkie te przymioty zjednały nam szacunek w całym świecie; prawie wszędzie, gdzie tylko chcą oddać komu pochwałę mężstwa, mówią: że mężny jak Turek! kupy zaś mówiąc o poczciwym człowieku, powiadają: że sprawiedliwy jak Turek! A powiedzże mi, czém szczyci się twój naród? włóczy on się tylko po puszczech kamienistej Arabii. Cóż o was mówią? chyba tylko, że nie posiadacie ni uczucia ni honoru; wyznajecie jedną wiarę z nami, ale Padyszach (sułtan) musi wam płacić każdorocznie znaczne sumy pieniędzy, by tém wybawić podróżnych pielgrzymów od waszych rabunków. Rozbój uczynił was podłymi włóczęgami w oczach prawdziwego muzułmanina. Przyznaj sam, mój towarzyszu,

---

\*) Beduini, mieszkańcy Arabii.

czy słowa moje nie są sprawiedliwe; przyznaj, czy wasz naród nie jest bandą rozbójników?

— Później skończymy ten spór, — rzekł mu Beduin, ukazując w pobliżu wielbłąda, który potknąwszy się upadł i ciężarem swym przycisnął jeźdźca, — później, a teraz pomóżmy temu nieszczęśliwemu.

— Idź, pomagaj mu sam! — odpowiedział Osman, — ja temu szelmie nie myślę uczynić najmniejszej usługi; cztery lata temu przekupił on u mnie wielbłąda, a teraz bardzo mnie to cieszy, że ten sam wielbłąd zemścił się za mnie. I gdybym nawet wiedział, że bestya zdycha, a jedno słowo moje mogło by mu wrócić życie, to ja, niech mi wybaczy Ałlah i jego wielki prorok! to ja zaszyłbym sobie usta!

Tymczasem Beduin oswobodził z pod wielbłąda jeźdźca, i wracał do nabożnego Osmana; prawie już dojeżdżał do niego, gdy wtém okropny tygrys wyskoczył z poza krzaka, około którego przejeżdżał nieostrożny Osman. W pierwszej chwili Osman stracił przytomność i spadł z przerażonego konia na ziemię. Beduin zwrócił się nie do ucieczki lecz prosto ku zagrożonemu Osmanowi, wyjął pistolet i w tym momencie, gdy drapieżny zwierz skoczył na swoją zdobycz, dał ognia, a tygrys ugodzony kulą w łeb, rozciągnął się około półmartwego Osmana.

Nasz Osman otworzył oczy; ocalenie jego zdawało mu się jakby za pomocą siły nadzwyczajnej, rzucił się na szyję Beduina i w zapale wdzięczności, z łzami w oczach, uznając jego pierwszeństwo w mężstwie i prosił, by przyjął w podarunku woreczek napełniony sekina-mi\*). Lecz jakież było jego zadziwienie, gdy Beduin nie przyjął ofiarowanego mu złota! Wtém przystąpił do nich żebrak o drewnianej nodze, okryty łachmanami i ranami, a zwracając się do Osmana, trzymającego jeszcze ów woreczek ze złotem, mówił:

---

\*) Sekin, złota moneta.



— Litość i miłosierdzie są ci znane zapewne, bogaty pielgrzymie, utul głód i pragnienie twego rodaka, udziel biédnemu jednéj rupiji\*) z grubo wypchanego twego worka, bo jedna rupia wybawi mnie od głodu i pragnienia; mam nadzieję, że do wieczora, przy pomocy twojéj, dowlokę się do poblizkiego miasta; bez twéj zaś pomocy utracę siły i zmuszony będę zginąć od drapieżnych i dzikich zwierząt.

— Niech ci Ałlah pomoże! — odpowiedział Osman, chowając do kieszeni worki z pieniędzmi. Nie mam dla ciebie ani jednéj rupii, ja jadę na pielgrzymkę do Mekki i Medyny z Diarbeku, i więcéj pieniędzy nie posiadam jak tylko te, które niezbędnie mi są potrzebne na podróż, albowiem resztę przy wyjeździe z ojczyzny rozdałem; żal mi cię bardzo, lecz pomódz ci nie mogę

To słysząc Beduin, wyjął swój worek z saraceńską pszenicą (ryżem) a drugi z wodą i oddał je ubogiemu, mówiąc:

— Utul swój głód i pragnienie, wzmocnij swe siły, a pójdziemy razem. Miasto, do którego ty dążysz, leży po téj saméj drodze, gdzie idzie karawana; ja cię odprowadzę, będziesz bezpieczniejszym.

— Ale ja bardzo powoli idę, i muszę często odpoczywać, — mówił żebrak.

— To wsiądź na mego konia — odparł na to Beduin.

— Rzuć go, — mówił Osman do Beduina — skończmy raczéj naszą rozmowę, pokażemy jeden drugiemu. . . . .

— Co! rozmowę? rozmowa nasza już dawno się skończyła; my jasno dowiedliśmy jeden drugiemu, który naród jest wspaniałomyślniejszym, mężniejszym i miłosierniejszym. Zauważ sobie Osmanie, że wszędzie są ludzie dobrze i źle czyniący.

---

\*) Rupia, mała srebrna moneta.

Osman zrozumiał przytyk dany mu od Beduina, i zaprzysiągł się na brodę swego pradziada zemścić się na Beduinie za jego śmiałą odpowiedź. Wkrótce nawinęła się Osmanowi sposobność spełnienia swój zemsty. W parę dni potém karawana zatrzymała się na krótki wypoczynek. Beduin strudzony zasnął bardzo mocno, co gdy ujrzał Osman, dał znak do dalszego marszu, zostawiając swego wybawcę Beduina w pośród dzikiej pustyni na pastwę dzikich zwierząt. Żeby zaś tenże nie mógł dopędzić karawany, ukradł jego pięknego karego konia wraz z wszystkimi jego rzeczami.

Beduin pomimo téj zdrady walcząc z głodem i pragnieniem dostał się po wielu trudach do świętego miejsca Mekki, a znalazzy tam znajomych, przy ich pomocy kupił sobie innego konia i szczęśliwie powrócił do domu.

Diarbekircy wspominają o nim, ojcowie i matki stawiają go za przykład swym dzieciom, a starzy często powtarzają: jak wiele trzeba wiedzieć i jak długo trzeba znać człowieka, by wydać wyrok i nie omylić się co do jego charakteru i serca.

---

## O wyspach koralowych.

Wspaniały przedstawia widok dla podróżnego wyspa koralowa, stercząca w pośród burzliwych fal oceanu. Przed oczami jego roztacza się szeroki pas ziemi w kształcie pierścienia, pokryty bujnym kobiercem zieleni i wysokimi kokosowemi palmami, których wysmukłe pnie, posłuszne wichrom oceanu, kołyszą się z głuchym szmerem. Ten zielony pas otacza wybrzeże błyszczącego białością piasku, o którego brzeg zewnętrzny rozbija się śnieżno-biała piana morskich bałwanów. Wewnątrz zieleniejącego pasu wyspy widzisz spokojną przezroczystą wodę laguny, a nad całym tym uroczym kra-



obrazem jasno błękitne sklepienie niebios. Ocean, powiada Darwin, kierując swe bałwany na zewnętrzne brzegi wyspy, występuje jako nieprzewyciężony jój nieprzyjaciół; lecz widzimy, że spotyka on przeszkodę i zostaje zwyciężonym przez takie środki, które na pierwszy rzut oka zdają się być zanadto słabemi i błahe-  
mi. Ocean nie zna wytechnienia i falowanie powodowane ciągle działaniem passatów, na chwilę nie ustaje. Bałwany mórz zwrotnikowych przewyższają swą siłą te, które bywają w naszych morzach umiarkowa-  
nych, i nie podobna spoglądać na nie bez przekonania, że granitowe i kwarcowe skały ustąpiły by im wreszcie i skruszyły się w proch pod wpływem ich potężnego ataku. Lecz te niskie, nędzne wysepki koralowe wytrzymują wszystko i pozostają zwycięzcami, gdyż in-  
na tu siła przyjmuje udział w walce, działająca przeciw pierwszej. Siły organiczne odbierają węglan wapna, atom za atomem, od pieniających się bałwanów, i łączą je w symetryczną budowlę; miryady budowniczych dniem i nocą pracują, i widzimy, że ich miękkie i galaretowate ciała pod wpływem praw życia przewyższają potężną siłę mechaniczną fal oceanu, przeciw któ-  
za słabe są walczyć i sztuka ludzka i martwe twory natury!

Te twory maleńkie, wznoszące tak wspaniałe budowle, są to polipy, należące głównie do rodzajów *Madrapora*, *Meandrina*, *Astrea* i innych. Polipy te wydzielają twardą, wapienną masę nie tylko na zewnątrz ale i wewnątrz ciała swego, która pozostaje po śmierci zwierzęcia, zachowując mniej więcej kształty jego ciała. W wodzie błyszczą często polipy cudownemi kolorami; wyjęte jednak z morza nie przedstawiają nic innego jak tylko bury śluz okrywający kamienne jądro. Polipy rozmnażają się za pośrednictwem jaj i prócz tego przez pączkowania lub dzielenia; młode więc pokolenie pozostaje wciąż w związku ze starém i ztąd powstają całe krzaki kamienne, które coraz większe

przybierają rozmiary, w miarę rozmnażania się polipów. Wyspy utworzone przez polipy przedstawiają trojakięgo rodzaju formy. Najpospolitsze są tak zwane *atolla*. Przedstawiają one owalny lub okrągły pas ziemi, mieszczący wewnątrz siebie jezioro, zwane laguną. Czasami pas ten tworzy nieprzerwane, zupełnie zamknięte koło, w innych razach posiada kilka przerw, za pomocą których woda laguny styka się z morzem. W lagunie panuje śmiertelna cisza, tylko od czasu do czasu zakłóci martwy jej spokój plusk ryby lub innego wodnego mieszkańca, szukającego w niej spokojnego i bezpiecznego ukrycia, a i człowiek burzą na morzu zaskoczony z radością spogląda na lśniąca i gładką powierzchnię laguny, by jej spokojnym falom powierzyć swój okręt. Drugi rodzaj wysp koralowych stanowią wyspy do pierwszych podobne, z tą jednakże różnicą, że w środku ich laguny znajduje się jeszcze wyspa nie koralowej natury, lecz utworzona ze sterczących z wody skał. Nakoniec tak zwane przybrzeżne rafy koralowe ciągną się wzdłuż wysp i lądów i dotykają prawie zupełnie ich brzegów, nie pozostawiając żadnego kanału, dzielącego ich od tych ostatnich. Widzimy więc w tych trzech typowych kształtach wysp koralowych wiele wspólnego; typ pierwszy przedstawia w środku lagunę, typ drugi różni się od pierwszego tém tylko, że na środku jego laguny istnieje wyspa, typ trzeci nakoniec różni się od drugiego zupełnym brakiem kanału, oddzielającego od rafy wyspę lub ląd stały. Te ościwe kształty wysp koralowych, wyłącznie im tylko włóściwe, oddawna zastanawiały badaczy. Okrągły lub owalny kształt wielu wysp, z których każda ma wewnątrz lagunę i otoczona jest głębokim oceanem, wzbudził bardzo naturalnie w umysłach wielu przyrodników myśl, że one nic innego nie przedstawiają jak tylko szczyty olbrzymich, podwodnych kraterów wulkanicznych, obrosłe polipami. Teorya ta tymbardziej utrzymała się w nauce, że w morzu koralowém Oceanu Spo-



kojnego, bogatém w wyspy koralowe istnieje, wiele czynnych jeszcze dotąd wulkanów, i że na niektórych wyspach dziurkowatych lawa stanowi skały, występujące z laguny, Tęj teorii trzymało się wielu dawniejszych i współczesnych geologów a nawet początkowo Lyell, ojciec nowożytnéj geologii, zmarły przed kilku laty. Dopiero gdy genialny umysł wielkiego myśliciela naszego stulecia zwrócił się do badania tęg kwetyi, nauka o utworzeniu się wysp koralowych weszła na nowe tory, a genialna myśl prostą teorią zburzyła poglądy dawnych i współczesnych geologów!

Karol Darwin, badając podczas swég podróży olbrzymie głębie, których sięgają podstawy wysp koralowych, zadał sobie pytanie, w jaki sposób polipy mogły rozpocząć swą budowę w tak wielkiéj głębokości, kiedy doświadczenie uczy, że mogą one żyć i budować nie głębiéj jak na 25 do 30 sążni pod powierzchnią wody. Z drugiej strony, doświadczeniem stwierdzono, że polipy nigdy nad powierzchnią wody nie wychodzą, lecz zawsze kończą swe budowle w pewnéj od niej odległości, tymczasem rafy koralowe sterczą zwykle na 10—15 stóp nad powierzchnią morza, a niektóre i na 50 lub 100 stóp. Ztąd wynika, że i zbyt głębokie zanurzanie się i występowanie po nad powierzchnią wody wysp koralowych zależy nie od natury samych polipów, lecz od jakichkolwiek bądź zewnętrznych wpływów. Otóż i te, dotąd nam nieznané wpływy zewnętrzne i dziwne kształty, jakie przybiérają wyspy koralowe, zupełnie dostatecznie rozjaśnia teoria powstawania wysp tych, podana przez Darwina. Darwin mniema, że dno, na którém spoczywają podstawy raf koralowych, leżące teraz w tak wielkiéj głębi, znajdowało się kiedyś na głębokości, nie przewyższającéj 25 sążni, lecz później zaczęło się ono obniżać, przez co spodnie koral stopniowo umierały, wierzchnie zaś przedłużały ku górze budowę, dopóki znajdowały wysokość odpowiednią warunkom ich życia. Dla tego tég ka-

da rafa głęboko spoczywająca w morzu ma dwie części: dolną — martwą i wierzchnią — żywą. W taki sposób wyjaśnia Darwin zagadkę, dla czego koral sięgają tak wielkiej głębokości. Darwin przypuszcza, że na wznoszenie się rafy okazują główny wpływ najprzód zwierzęta, przyczepiające się do jej wierzchniej podwodnej części, jak ostrygi i rozmaite olbrzymie muszle, morskie jeże, pancerze raków, których całe warstwy widać na brzegach wysp koralowych, dalej odłamy samej rafy, odrywane od niej morskimi falami i wyrzucane na jej powierzchnię. Takie odłamy nagromadzają się niekiedy w wielkich ilościach, i razem z rozkosznymi resztkami zwierząt i muszli stanowią jedną masę, tworzącą zewnętrzną stronę rafy, zwykle nagą, nadzwyczaj białą i błyszczącą, zwaną *madreporowym wapieniem*. Trudno jednak przypuścić, żeby sam wapień madreporowy był w stanie podnieść niekiedy rafę na 50 lub 100 stóp. W tym razie, podług Darwina, działa inna, potężniejsza siła, mianowicie powolne wznoszenie się dna morskiego. Tak więc jedném i tém samym zjawiskiem, zjawiskiem wznoszenia się i opadania dna morskiego, Darwin objaśnia owe zewnętrzne wpływy, działające przy tworzeniu się raf kolorowych.

Przypuścimy — powiada Darwin, że wzdłuż jakiejś wyspy w pewnej głębokości pod powierzchnią morza polipy rozpoczynają budowę rafy; rafa dotykać będzie bezpośrednio brzegu wyspy i utworzy około niego pas nieprzerwany. Teraz, wystawmy sobie, że brzegi wyspy, otoczone rafą, zaczynają opadać; wtedy najniższe koral, spuściwszy się na nieodpowiednią warunkom ich życia głębią, umierają, wierzchnie zaś starają się dojsć do pierwotnej wysokości, to jest wnoszą się dalej ku powierzchni morza. Polipy znajdujące się na zewnętrznej stronie rafy, jako zwrócone do morza, są silniejsze, niż polipy wewnętrzne, zwrócone do wyspy i ledwie wystawione na działanie morza; z tego powo-



du głównie budują polipy zewnętrzne i ztąd powstaje pomiędzy brzegami wyspy i rafą dzielący je kanał wody. Mamy więc rafę z laguną, w pośród której znajduje się wyspa. Jeżeli przypuścimy teraz, że wyspa, w około której polipy rozpoczęły swą budowę, zupełnie się zanurzy, otrzymamy pierwszy typ wysp koralowych, to jest *attolę*. W podobny sposób łatwo sobie wytlómaczyć i trzeci typowy kształt raf koralowych i wszystkie przejściowe formy, jakie spotykamy. Widzimy więc, jak doskonale objaśnia teoria Darwina wszystkie zjawiska, dotyczące wysp koralowych. Należy przytém zwrócić uwagę na to, że co się dotyczy hipotezy powolnego wznoszenia się i opadania dna morskiego, to posiadamy teraz tysiące niezbitych dowodów, że takie wznoszenie się i opadanie dawniej miało miejsce i teraz w niektórych miejscach wciąż jeszcze istnieje; tak np. brzegi Szwecyi wciąż się powoli wnoszą, gdy brzegi Ardryatyckiego morza zapadają się. Zjawiska te, jako zachodzące bardzo powoli, dają tylko obserwować w długich przeciągach czasu.

Wyspa koralowa, wystąpiwszy z otchłani morskich, jest z początku martwą i nagą, lecz wkrótce pod wpływem kruszących sił oceanu, wilgoci i prostopadle padających promieni słońca, powierzchnia jej pokrywa się warstwą urodzajnej ziemi. Nasiona palm kokosowych, długo unoszone falami, znajdują na niej przytulisko wpośród nieprzyjaznego im żywiołu i wdzięcznie przyozdabiają nagie skronie nowój swój karmicielki zielonemi laurami. Wkrótce i bujna trawa barwi oblicze wyspy, ptactwo morskie z dalekich stron się zlatuje i miłém świergotaniem ożywia ciszę. Kłody i pnie drzew olbrzymich, unoszone na barkach oceanu, dobijają do brzegów, a liczne owady i drobne zwierzęta, które znalazły na nich schronienie przed rozhukanym żywiołem — wychodzą na wyspę, by ożywić ją jaskrawemi barwy. Wszystko staje gotowe; niech tylko człowiek wyląduje na brzegu, a zastanie tu rozwinięte w całej pełni życie.

## Pożar Parowca.

W jednym z pogodnych dni świąt Bożego Narodzenia, które w południowej Ameryce przypadają podczas najpiękniejszego lata, zgromadził się liczny zastęp podróżnych z wyższych stanów w porcie miasta Buenos Ayres, stolicy republiki argentyńskiej. Dwa wspaniałe parowce: „Ameryka“ i „Villa del Salto“ kołysały się na majestatycznej rzece Rio de la Plata i oczekiwały podróżnych, którzy po większej części pragnęli przepędzić święta w Montewideo, mieście leżącym po drugim brzegu téj kilkanaście mil szerokiej rzeki. Piękne kreolki, całe familie z dziećmi, których oblicze jaśniało z radości, weseli studenci, wszystko to wsiadło do zgrabnych łodzi, które ich przeniosły na olbrzymie parowce. Oba te statki należały do najpiękniejszych, jakie w ogóle wybudowano. I tak parowiec „Ameryka“, prawdziwy pływający pałac, był to jeden z tych drewnianych kolosów, jakie budują w Stanach Zjednoczonych, które co do wygody i elegancyi zaspakajają wszystkie życzenia.

Salon, jaśniejący marmurami, zwierciadłami i posłotami, obejmował przestrzeń, na której 16 par mogło swobodnie tańczyć kadryla przy dźwiękach wybornego fortepianu.

O godzinie piątej opuścił „Villa del Salto“ port miasta, a w pół godziny pośpieszyła za nim „Ameryka“ na otwarte morze. Jak zwykle, tak i tą razą całe towarzystwo zasiadło o 6tej do stołu, a obfita wieczerza trwała prawie do ósmej. Po krótkiej ogólnej przechadzce na pokładzie zgromadziły się damy ze swemi kawalerami w salonie, aby czas do północy przepędzić na tańcu i wesołej rozmowie. Krótko po dwunastej skończono zabawę; osoby starsze już wprzódy udały się na spoczynek, a jeden z ostatnich młodzieńców odezwał się żartobliwie do kapitana okrętu: — Panie, „Villa“ ciągle jeszcze przed nami pędzi.



Słowo to, mimochodem powiedziane, stało się powodem strasznój katastrofy i sprowadziło śmierć przeszło stu ludzi.

Kapitan Bossi, nadęty, zarozumiały Włoch, postanowił dogonić parowiec przodem płynący, i rozkazał dołożyć więcej paliwa pod kotły maszyny; w pół godziny zrównał się z parowcem, ale w dwadzieścia minut potem rozległ się huk z wnętrza okrętu. Jeden z kotłów pękł i zabił trzech palaczy; ratunek był jeszcze możebny, bo drugi parowiec znajdował się w bliskości, ale zaślepiona próżność kapitana, który wystraszonem podróżnym oświadczył, że niebezpieczeństwa nie ma, sprowadziła katastrofę. Podróżni uspokojeni powrócili do swych kajut, kiedy nagle okrzyk „pożar“ jako błyskawica przebiegł po celach śpiących pasażerów. Kapitan, zamiast po pęknięciu kotła przygotować łodzie i zawiadomić drugiego parowca, zamiast porobić dostateczne przygotowania do ratunku, w zaślepieniu swym nie zrobił nic, nawet podróżnych nie uwiadomił o tém, że pod każdym materacem znajduje się przyrząd ratunkowy, tak zwany salva vidas. Tymczasem w kilku chwilach nastąpiło wielkie zamieszanie pomiędzy dwustu podróżnymi, znajdującymi się na parowcu. Komenda kapitana, który zupełnie stracił głowę, nic już nie skutkowało; majtkowie wskoczyli do jednego czołna gotowego i pozostawili podróżnych losowi. Wielu ze śpiących w kajutach udusił dym na samym początku katastrofy, reszta zbiegła się na pokład, szukając ratunku. Tymczasem ogień, podsycany suchym smolnym mteryjałem, rozszerzał się gwałtownie. Jakiż okropny widok przedstawiał teraz pokład, przed kilku godzinami ożywiony grupami wesołych ludzi! Matki, przyciskające rozpaczliwie swe dzieci do piersi, mężowie ściskający swe żony po raz ostatni, ojcowie przewidujący straszną śmierć osób ukochanych: wszystko to szukało napróżno ratunku. Ale już nie można było bezpiecznie pozostać na pokładzie; każdy miał wybór między wodą i ogniem!

Pośród tych scen okropnych znalazły się szlacheckie dusze, które nie tylko o sobie, ale i o bliźnich myślały.

Młode małżeństwo, lekarz Marco del Pont ze swą piękną żoną, miało tylko jeden przyrząd ratunkowy; pędzone płomieniami skoczyło do wody, ale przyrząd ratunkowy, obliczony na jedną osobę, nie mógł dwóch osób utrzymać na powierzchni, małżonkowie mieli się już za zgubionych — wtém nadeszła pomoc niespodziana. Koło nich płynął człowiek opasany przyrządem; był nim Eduardo Viale, niezonaty bogaty kupiec włoski. Któż wie, co się działo w jego duszy, kiedy spostrzegł tonące małżeństwo; dość że zdjął swój *salva vidas*, podał go rozpaczającym małżonkom i znikł w głębinach morza.

Na pokładzie parowca znajdował się kupiec niemiecki, nazwiskiem August Roehl, ze swą familiją. Zebrał on ją całą na bezpiecznym miejscu i rzekł: „Wyratujemy się wszyscy, lub zginiemy wszyscy.“ Następnie rozkazał najstarszemu synowi czuwać nad rodzeństwem, a sam wskoczył w morze płomieni i pobiegł na miejsce gdzie leżały zbyte przyrządy. Zopatrzył w nie żonę i dzieci i skoczył w morze. Najstarszy syn powrzucał resztę rodzeństwa, które ojciec zebrał i przywiązał powrozami do płynącej belki. Po dwugodzinném błakaniu się znaleźli pomoc oczekiwaną.

Inny przykład odwagi i zimnej krwi dał kupiec z Bremy Iken, który razem ze synem ministra wojny Roona wyratował się od śmierci. Skoczyli obaj zopatrzeni w przyrządy do wody, i pomimo krótkiego wzroku, udało im się wyszukać maszt, na który wsiedli, jak na konia. Młody Roon wsadził na nos swe okulary i wyratował jeszcze dwie tonące osoby. Po dwóch godzinach spotkał ich parowiec „Villa del Salto“ i zabrał ich na pokład. Ogółem wyratowało się 80 osób, ale sto dwadzieścia znalazło śmierć w płomieniach lub głębinach morskich.

---



## Z życia plantatorów.

Ernest v. Hesse Wartegg, znany inżynier i literat, wydrukował szereg rozpraw o okręgach trzciny cukrowej w Luizyanie. Owe „wizerunki plantacyjne“ stanowią dokładną ilustracją zmiany stosunków w dawnych niewolniczych stanach.

Chcąc się przyjrzeć plantatorskiemu życiu — powiada autor — zmuszeni jesteśmy odwołać się do gościnności licznych plantacyji, które się mieszczą wewnątrz dość ciasnego obrębu. Domy plantatorów stoją otworem dla cudzoziemców. W całej delcie\*) rzeki Mississipi na wielu milach kwadratowych nie znajdujemy żadnego miasta, żadnej wsi, żadnego hotelu. Cały kraj ten poprzeryzany jest błotami, rzekami głównymi i pobocznymi. Terytorya mieszcząca się wśród tych wód, pokryte są pomarańczowemi gajami, wielkimi ogrodami i plantacyjami trzciny cukrowej. Ziemia wątpliwéj wartości zasiana jest ryżem. Oprócz chat murzyńskich i kilku kościółków, mieszczą się tu tylko domy plantatorów; podróżujący więc lądem zmuszeni są korzystać z gościnności kreolów.

Cudzoziemcy téż, zwłaszcza Europejczycy, zawsze gościnnie są przyjmowani. Plantacye mieszczą się w tak spokojnym i odległym zakątku świata, a podróżni tak rzadko tu się zjawiają, że odwiedziny ich są dla rodzin plantatorskich nieledwie wypadkiem radosnym. Każdy przybyły podróżny uważanym tu bywa za członka familii i z przykrością żegnany.

Każda z plantacyi stanowi świat odrębny, sam w sobie zamknięty. Rogatki okalające taką miejscowość są jakby słupami Herkulesa. Ludek tutejszy żyje zupełnie od reszty świata odmienném życiem. Wszelkie

---

\*) Delta jest to kraj leżący między ramionami jakiej rzeki przy jej ujściu.

wypadki polityczne i umysłowe, wojny i rewolucye za-  
ledwie dochodzą jego uszu, a wszystkie dążenia i am-  
bicye zamykają się w przestrzeni paruset akrów trzci-  
ny cukrowej, ciągnącej się między domami a moczara-  
mi (swamps) rzeki Mississipi.

W lecie i w zimie niebiański spokój zapełnia  
plantacye. Piękny, obszerny dom mieszkalny właścicie-  
la, mieści się w nieznacznej odległości od wałów, chro-  
niących kraj przed wylęciami gwałtownej Mississipi.  
Na nasypach ciągnie się droga wzdłuż rzeki. Z wy-  
sokości téj zaledwie można dostrzedz plantacyi przez  
podzwrotnikowe gęstwiny drzew zapełniających ogrody.  
Po miękkim, kwiatami pokrytym różowym kobiercu  
zbliżamy się do plantatorskiego domu, który zdala już  
uśmiecha się do nas, jakby uroczą sielanka. Dom ten,  
zbudowany ze starych grubych murów, zaopatrzony jest  
w wysokie okna, pokryte zielonemi żaluzjami, i pełen  
dokoła szerokich werand. To wszystko nadaje mu ce-  
chy małego obronnego zamku z czasów feudalnych Fran-  
cyi. Wysokie ku niebu strzelające magnolie rzucają  
dokoła dużo cienia. Wspaniałe palmy wychylają smu-  
kłe swe łodygi z pośród gęstych krzaków mandarynek.  
Aloesy z ciężkimi swemi centnarowej wagi liśćmi o-  
kalają szeroki taras. Płoty otoczone są pysznie kwit-  
nącemi krzakami róż. Po prawej stronie ogród wbie-  
ga w las pomarańczowy, milę długości mający, którego  
drzewa w Lutym świetnie rozkwitają, roznosząc dokoła  
woń czarującą. Pawie i indyki przechadzają się dum-  
nie po murawach, promieniami słońca połączanych, prze-  
rywając krzykiem swym jednostajny spokój, zalegający  
cały ten sielankowy obraz. Kilka psów wybiega na  
spotkanie warcząc, czém zwracają na siebie uwagę dam,  
zajętych spożywaniem śniadania. Za chwilę zaproszono  
téż i nas do stołu. Plantator, dozórca i murzyni zaję-  
ci są w polu, a damy robią honory domu w sposób  
najbardziej ujmujący. I dziś jeszcze widnieje pewnego  
rodzaju okazałość w téj niegdyś tak dumnej, arystokra-



tycznej rasie kreolskiej. Potęga ich została złamana, bogactwo znikło, lecz krew' w żyłach pozostała.

Na kilkadziesiąt metrów od domu plantatora wznosi się parę tuzinów małych domków. Zbudowane są w jednakim stylu i wielkości, wyglądają jak w ogóle wszelkie zabudowania na delcie Mississipi, niby na szczytach, gdyż wilgotny grunt i częste wylęwy rzeczne nie pozwalają murowanych dawać fundamentów i urządzać piwnicy. Domki te rozrzucone są pojedynczo, aby w razie pożaru ogień nie ogarnął całej kolonii. Wielkie zabudowanie zawiera w sobie szpital, inne zaś kościół. Jest to tak zwany *kwarter*, mieszkanie plantatorskich negrów, niegdyś niewolników. Tu żyją oni wraz z rodzinami swoimi, dziećmi bawiącemi się po za domem lub na polach. Domy te stanowią w pewnej mierze dumę negrów; przyozdabiają oni mieszkanie swe obrazkami, papierem pstrokatym, starymi meblami, kawałkami kobierców, w sposób dość śmieszny. Kobięty pracują z mężami na plantacyach, i tylko tu i owdzie widzieć można starą murzynkę siedzącą przed drzwiami domu w jakimś zawoju, z turbanem na głowie.

Za domem gnieździ się nieco grzebiącego ptactwa, które czyha z boku na spadłe okruchy. Dalej znów siedzi kilku jak smoła czarnych chłopców łowiących raki. Od urodzenia nie mieli jeszcze na sobie żadnej odzieży, i teraz téż siedzą z największą swobodą w swój pierwotnej toalecie. Wędka ich składa się z nici, do której końca przywiązują kawałek mięsa. Gdy rak uchwyci ponętę, szybko wyciągają go ze ślamistej wody. Na téj czynności spędzają całą epokę swojej młodości; a gdy dorosną, wówczas dalej na pole rznąć trzcinę cukrową; dotychczasowe swe zajęcie pozostawiają dla młodszej braci.

Z rana i wieczorem „kwartery“ stanowią obraz pełen ożywienia. Załedwie wielki dzwon na dachu wybił długi swój poranny sygnał, a już obszerny ocieniony drzewami plac przed domkami negrów pocyna

się zapełniać. Podobnie jak za czasów niewolnictwa i obecnie bywają liczeni i przez nadzorców wyprowadzani na plantacye. Obecnie jednak robotnicy ci odznaczają się wesołością i humorem. Śpiewając, śmiejąc się, skacząc, zdążają gromady negrów ku plantacyom. Z koszami na głowach, z narzędziami na barkach, śpieszą na pole mijając dom plantatora. Murzyn nawet podczas swych codziennych zwykłych zajęć zachowuje nie zamaçoną niczém wesołość i jaskrawą elegancyą, która bardzo korzystnie odbija od posepnój i surowej postawy białych robotników. Najzabawniej wyglądają oni, gdy spotkają na drodze parę młodych murzynek, ku którym naturalnie zmierzają wszystkie ich zachody jednostajnego życia. To téż mężczyźni ochoczo podskakując, zalecają się owym niewiastom, które rzeczywiście bardzo dobrze się prezentują. Przy stojne, smukłe i zmysłowe, tłumaczą nam owo zjawisko licznych mulatek, przebywających obecnie na plantacyach, jako przez pół panie i przez pół niewolnice. Przyroda, gorące słońce południa, wytworzyło w nich owę zmysłowość, która w nich nie jest uważana jak u białych za wadę, ale za naturalny przymiot niewieści.

Jednym ujemnym rysem przypominają one białe swe siostry: gadatliwością. Muszą paplać z kimkolwiek bądź, choćby z dziećmi bawiącemi się na drodze, a w braku towarzystwa, gawędzą ze sobą w samotności przed lustrem.

W godzinę po ozwaniu się wspomnianego dzwonka, wszyscy pracują w polu. Podobnie jak w mieszkaniach tak téż i w polu, biali i czarni robotnicy ściśle są rozdzieleni.

Słońce piecze dokuczliwie, a ludzie, podobnie jak muły, cierpią bardzo od latowych skwarów, których konie znieść nie są w stanie; tylko dozorczy objeżdżają na nich pole, pilnując robotników. Dozorcy ci jednak nie wywijają już batami jak niegdyś; robotnicy spoglądają obecnie przed siebie bez obawy i drżenia, grzbie-



ty ich nie wykrzywają się od razów, mogących na nich spaść, gdy usłyszą galopujących za sobą dozorców. Trzaskanie z biczów i klątwy ucichły na zawsze, a w miejsce ich odzywają się obecnie śpiew, żarty i wesołość. Jakże odmiennie przedstawia się terazniejsza swoboda w porównaniu z niewolniczą przeszłością! Prócz tego pracę uczyniono lżejszą. Wielkie pługi parowe, o dwudziestu lub więcej lemieszach, pędzone siłą wielkiej maszyny parowej, wyrują brzozy w ziemi i zwalniają byłych niewolników od ciężkiej roboty. Maszyny parowe do śładowania czyszczą moczary na skrajach lasów zapełnionych kajmanami. Para i maszyna podniosły negra do godności człowieka.

Wielki na milę obwodu rozchodzący się głos dzwonu zwołuje na obiad. Ludzie porzucają roboty. Setki mułów rżą radośnie. Negrowie dosiadają, i hop! hop! dalej kłusem ku kwarterom. Zwierzęta te znają dobrze drogę, to też wbiegają jak szwadrony kawalerii na dziedziniec plantatora.

W mgnieniu oka spokojny dziedziniec zmienia się w ruchliwy obóz, pełen wesołości i wrzawy. Tu postawiano konie i muły stadami, tam znów długie stoły zastawiono miskami zupy, mięsa i jarzyn. Biali robotnicy wróciwszy z pola i fakryk cukru, zasiadają przy osobnym stole, i przez pewien czas słyszą tylko szcęknięcie widelców i noży. Po obiedzie zbiegają się dokoła stołów psy, kury, prosięta, gołębie i cały świat zwierzęcy tych plantacyi, a jedynie tylko dumne pawie i indyki nie opuszczają odrębnego swego terytorium w roślinnym ogrodzie, niby grandowie hiszpańscy.

Tu pod czystym, ciepłym, włoskim niebem przez cały rok obiadują na wolnym powietrzu; ani zupa tu ostygnie, ani wino od deszczu się nie rozcieńczy.

W godzinę potem wszystko znów wraca na pola, gdzie wrywają chwasty z ziemi.

---

## O starożytnym Rzymie.

Każdemu dobrze obeznanemu z dziejami starożytnego Rzymu nasuwa się chęć wyjaśnienia, ile téż to światowładne miasto zawierało w sobie ludności? Od dawna wielu uczonych obrało sobie ów przedmiot za cel swych badań; lecz wypadki rozmaitych poszukiwań różnią się bardzo pomiędzy sobą. Kiedy Dureau de la Malle podaje zaledwie małą cyfrę 526,000 albo 567,000 mieszkańców w peryodzie największego rozkwitu, Hoch utrzymuje, że dochodziła do 2,265,000. Twierdzenie to jednak wielu nie zadawalnia; utrzymują oni, że w stolicy świata znajdowało się od 8—14 milionów mieszkańców. Pomiedzy obiema ostatniemi liczbami chwieją się obrachowania poczynione przez Vossiusza, Lipsiusza, Bergera, Garcettego, Bottia i wielu innych; przyłącza się do nich krytyczny Gibbon, gdy tymczasem Montesquieu skłania się za przyjęciem téj cyfry, aczkowiek olbrzymiej.

Niedawno rząd włoski za pośrednictwem generalnej dyrekcji statystycznej przystąpił do wydania ogromnego dzieła o Rzymie starożytnym i nowym: *Monografia della citta di Roma e della Campagna Romana* (Monografija miasta Rzymu i Kampaniji Rzymskiej), którego już dwa obszérne tomy wyszły, a trzeci wkrótce się ukaże. Dołączony tu wielki atlas obejmuje 12ście kart: *Carte Topografiche, Idrografiche e Geologiche*, według skali 1 : 80,000. W tém to wielce interesującym dziele, składającym się z pojedynczych rozpraw ówczesnych uczonych włoskich, znajdują się również dwie prace tegoż przedmiotu.

Pierwsza z nich przez Rudolfa Lanciani: O zabudowaniach Rzymu, opisuje piérwiastkowo stan tychże w rozmaitych epokach, począwszy od nędznej prostoty najdawniejszych czasów, aż do odbudowania się po pożarze Nerona i dalszego przyozdobienia przez późniejszych cesarzów. Autor w trafnym ustępie czyni przy-



tém porównanie Rzymu z dzisiejszym Londynem. Wszelako porównanie to jest o tyle wadliwe, że stosunki starożytnego grodu są bardzo niedokładnie znane, a tymczasem podane liczby mają względną wartość i znaczenie.

Owo starożytne, jako i to nowe miasto leżą po obu stronach rzeki bezpośrednio wpadającej do morza (lecz Tyber jest bardzo małą rzeką w stosunku do Tamizy!); grunt wznosi się tu i tam przeszło na 80 metrów nad powierzchnią morza; oba miasta przekroczyły po za swoje pierwotne mury (ale Londyn ze swojemi 31,600 hektarami albo  $5\frac{3}{4}$  mil kwadr., co wszelako zaledwie wynosi połowę przestrzeni starożytnej Niniwy — ma zupełnie inną rozległość niż Rzym, jeżeli się nie dołączy gruntu aż do Ostii, podczas gdy mury obwodowe wynoszą tylko 1,400 hektarów). Być może, że wybudowany przez Klaudyusza i Trajana port Ostia przedstawia użyteczny bassen o 1,091,000 metrach kwadr., wówczas kiedy ośm wielkich portów Londynu obejmuje tylko 945,000; w każdym razie bardzo trudno porównać wartość towarów tu i tam, wszelako o igrzyska w cesarskim grodzie zupełnie inaczej się troszczono niż w stolicy brytańskiej: 30 teatrów w téj ostatniej może pomieścić w sobie około 75,000 widzów, kiedy największy cyrk (maximus) sam jeden obejmował w sobie 285,000 a dziewięć wielkich teatrów mieściło w sobie razem 632,000 miejsc. We wszystkiém uderza wielce rozmaity stosunek, i dla tego nie możemy żądanej paraleli przeprowadzić dalej.

Wracamy się więc do praktycznie ważniejszego punktu: to jest do liczby domów, a następnie do stałego popisu liczby mieszkańców.

Szczegółowe wykazy, zwłaszcza opis pod tytułem: *Curiosum, descriptio urbis et notitia dignitatum utriusque imperii* z czwartego stulecia naszéj ery, oblicza 424 *vici* wraz z 1790 pałacami i 46,602 domami. Lanciani starał się ocenić na téj podstawie liczbę lud-

ności. Dotąd bowiem nie oznaczono jasno znaczenia różnicy wyrazów *domus* a *insula*. Być może, że pierwsza nazwa zawsze oznacza wielki pański dom, albo jak nasz autor nazywa, pałac; wszelako brak jeszcze należytego wyjaśnienia, jak uważać 46,602 *insulae*. Przyznaje to sam autor. Jednak utrzymuje on, że w zabudowaniach pierwszego rodzaju mieściło się 30, a w ostatnich 50 lokatorów, i w taki sposób dochodzi w oznaczeniu liczby ludności miasta Rzymu na 2,383,800 osób, włączając do niej naturalnie i niewolników. Jednocześnie temu całemu obliczeniu brak silnej podstawy, jak to się okaże z powyższych i następnych danych.

Lanciani właściwie tylko potrącił kwestyą ludności, a dopiero opracował ją Piotr Castiglioni w swój rozprawie *Della popolazione di Roma, dalle origini ai nostri tempi* (O ludności Rzymu od początku założenia aż do naszych czasów). Można ją uważać za najobszerniejszą i najgruntowniejszą ze wszystkich pism, jakie w tym przedmiocie były wydane od wieków.

Autor uwzględnia tutaj wszystko, co tylko spożytkować się dało. Materiał niemały, ale wszędzie potrzeba tu było bystrego krytycznego doświadczenia i przenikliwości, którą Castiglioni okazał w wyższym stopniu niż wszyscy jego poprzednicy.

Zesumujmy jego dowody.

Wprowadzony spis ludności (*census*) przez Serwiusza Tulliusza. Należy tu podziwiać przezorny ład, jaki już panował w r. 186 od założenia miasta (a więc na 567 lat przed Chr.) i trwał bez przerwy aż do 826 (73 lat po Chr.). Służył on do bardzo skomplikowanych celów: politycznych (wybory), militarych (pobory rekrutów) i finansowych (podatki od nieruchomości i ruchomego majątku). W przeciągu 640 lat odbyło się 75 poborów, z 37 ocalały jeszcze główne cyfry. Nie należy więc wątpić, jaka była liczba mężczyzn w wieku po nad lat 14. Lecz to nam nie daje cyfry całej ludności. Wprawdzie zyskujemy pewien



środek obrachowania w przybliżeniu liczby kobiet i dzieci, a zarazem stwierdzenia ogólnej liczby wolnego zaludnienia; lecz znowu nasuwa się pytanie, jak wielka była ilość niewolników? Właśnie co do tego punktu rozchodzą się z sobą poglądy, i tu znajduje swoje uzasadnienie przyjęcie ogromnej ilości niewolników dla wytlómaczenia przesadnej cyfry ludności 14 milionów? Słuszną robi autor wzmiankę, że z ogromnej ilości niewolników, posiadanych przez jednostki, nie należy wnosić, jakoby inni obywatele w równej mierze ich posiadali; że przeciwnie ową masę niešťczęśliwych w rękach małej liczby bogatych starożytni pisarze właśnie dla tego podnosili, ażeby uwydatnić niezmierną nierówność majątków przez to w uderzający sposób. Wiadoma, że Sulla dla wzmocnienia swój potęgi, a zarazem złamania przeciwnika nadał wolność i prawo obywatelstwa 10,000 najmłodszym i najsiłniejszym niewolnikom w Rzymie. Ten fakt i prócz tego rozmaite inne skłaniają nas do przyjęcia wniosku, że ogólna suma niewolników w mieście dochodziła prawie do 40 tysięcy (albo 50,000); o milonie zaś nie może być nawet mowy.

Zastanówmy się teraz nad pozostałymi budynkami, a przytém nad tak powikłaném rozróźnianiem *domus* od *insula*. Castiglioni dowodzi, o ile to jest możliwe, obszérnie i w sposób przekonywający, że *domus* powszechnie oznaczał wielkie, na sposób pałaców budowane domy bogaczy, stosunkowo nielicznych. Cicero podaje okrągłą liczbę takich bogaczy na 2,000; 178 *domus* dostojników odpowiada w przybliżeniu temu stosunkowi. Ograniczenie głównej cyfry wyjaśnia bardzo mało w szacowaniu ogólnego zaludnienia, czy w każdym takim pałacu mieściło się lokatorów 50, albo 75, a nawet 100. Rozwiązania dostarczają 46,602 *insulae*. Castiglioni w swém badaniu dochodzi do tego rezultatu, że nazwa *insula* była wprowadzona wyłącznie dla spisu (census). Odnosi się ona do wnoszenia poda-

tku przez każdą zapisaną głowę rodziny. Cyfra ta oznacza więc liczbę gospodarstwa, części pomieszkań, lub téż, jak to niegdyś było zwyczajem liczyć ogniska po włosku *fochi*. *Insulae* te służyły niezamożnym obywatelom, rzemieślnikom itd. oraz ich niewolnikom za mieszkanie, warsztaty, kramy albo téż za izby gospodarskie, za jadalnie i sypialnie. W tym względzie autor nie waha się przyjąć przecięciowo dziesięciu mieszkańców na każdą insulę.

Jeszcze inne względy nasuwają się nam pod uwagę. Pisarze, którzy przyznali Rzymowi kilkomilionową liczbę mieszkańców, powołują się na ogromną ilość miejsc w teatrach (632,000).

Należy jednak pamiętać nie tylko to, że uczęszczanie do teatru każdemu bezpłatnie było dozwoloném, lecz że każdego dnia tylko w jednym odbywały się przedstawienia, i że cyrk największy (*maximus*) nie tylko był przeznaczony dla mieszkańców miasta Rzymu, lecz także dla całej latyńskiej federacji.

Rozumie się, że autor usiłował zużytkować również i doszłe do nas wiadomości o rozdziale pieniędzy, itd.\*)

Z głównych wyników, jakie przy badaniu Castiglioni osiągnął, wyjmujemy następane ostateczne rezultaty:

Liczba ludności miasta Rzymu jest niepewną przed Serwuszem Tuliuszem; mogła ona wynosić przy śmier-

---

\*) Rozliczne i rozległe badania autora doprowadziły go wielokroć do stwierdzenia dat w innych dziedzinach. I tak np. potęga rzymska wojenna w czasie bitwy pod Kannami wynosiła 87,200 ludzi, między którymi tylko 42,200 było Rzymian, a reszta 45,000, przeszło połowa, składała się ze sprzymierzonych. Rzymska siła wojenna Marka Aureliusza (w czasie największego zrwostu potęgi militarnéj) składała się z 12 pretoryjańskich pułósie w Rzymie tj. z 12,000 ludzi; 14 miejskich pułków równa to kw 14,000, 7 pułków straży 7000, 1 legion we Włoszech 6826, 32 legiony oprócz półwyspu 218,432, tak że całość wynosi 497,690 ludzi, gdy państwo rozciągało się na wszystkie ucywilizowane kraje ziemi i dochodziło prawie do 120 milionów ludzi (za Tyberysza 350,000, za Nerona 389,700 żołnierzy).



ci Romulusa około 40,000 łącznie z 8,500 niewolnikami; za Tarkwiniusza Starego około 100,000, włączając tu około 21,000 tychże nieszczęśliwych. Za Serwiusza Tulliusza (roku założenia miasta 186) rzeczywisty spis ludności (census) wykazuje 84,700 mężczyzn wraz z młodzieżą, tutaj należy nie objętych spisem kobiet i dzieci 110,262, również 27,217 niewolników, tak więc całkiem było ludności 222,000. Wykazy obejmujące w sobie 18 rozmaitych kategorii ludności i 53 różnych obliczeń. Ograniczymy się tu na wyszczególnieniu kilku głównych liczb: I tak w czasie podbicia Rzymu przez Gallów (rok 361) miasto zawierało w sobie 402,000 mieszkańców, między którymi 144,029 mężczyzn wieku lat 14 i 49,000 niewolników obojój płci. W r. 474 od założenia miasta (wojna z Pyrrusem) występuje ogólna cyfra do 733,000; roku 501 (początek wojen punickich) 862,000; roku 512 (koniec pierwszej wojny punickiej) 713,000; roku 544 (zwycięstwo Hannibala, zaraza i t. d.) tylko 650,000. Znowu następuje nowy wzrost ludności, chociaż nie bez pojedynczych ubytków; r. 594 (zburzenie Kartaginy) 900,000; potem znowu wahania się; r. 627 (rok śmierci Scypiona Afrykańskiego) 1,071,000; r. 667: 1,272, tysiące; r. 703 (upadek rzeczypospolitej) 1,152,000, w tém nieobjętych censusem 420 tysięcy wolnych, 551,709 niezapisanych do Rzymu należących, wolnych (kobiet i dzieci), 971,700 tamże osiadłych nieobywatelek, nakoniec 179,000 niewolników, pomiędzy tymi 120 tysięcy płci męskiej. W r. 725 aż do 766 za Augusta zniża się liczba ludności z 1,336,000 do 1,241,000. Z powodu nieodbywania spisu musimy ograniczyć się na mniej pewnych obrachowaniach. Za cesarza Aureliana r. 1088 albo 270 po nar. Chr. znajduje się obliczoną ludności 1,170,000. Po rozdzieleniu państwa r. 335 po Chr., jak sądzi autor na zasadzie bardzo niepewnych danych, tylko jeszcze 300 tysięcy, a po upadku Zachodniego Państwa Rzymskiego (r. 476) zaledwo tylko

jeszcze 100,000 ludzi można przyjąć jako ludność stolicy.

A zatem przypuścić trzeba, że największą liczbą ludności, jaką zawierało miasto Rzym w czasie swego najwyższego rozkwitu, było prawie  $1\frac{1}{3}$  miliona ludzi. Tak więc Rzym przewyższał dzisiejszy Wiedeń i Berlin (z których każde liczy przeszło 1 milion) i może stanąć na równi nie tylko z dzisiejszym Londynem (4 mil.) lecz także z Paryżem (2 miliony głów). Castiglioni załącza również porównanie ludności nadtybrzańskiego miasta za czasów papieży. W końcu XII aż do początku XVIIgo stulecia znajdowało się w okrągłej sumie r. 1198 35,000; 1377 (rezydencja papieża w Awinionie) 17,000; za Leona X wzrosła liczba od 40 tysięcy (1513 r.) do 60,000, lecz znów w r. 1527 po spłądrowaniu miasta przez wojska Karóla V zmniejszyła się do 33,000. Od r. 1600 począwszy były corocznie przygotowywane przez duchowieństwo dokładne listy: 1600 roku — 109,729 mieszkańców, 1604 — 99,233, 1650—126,192, 1659—104,462, 1700—149,447, 1702—138,568, 1750—157,882, 1797—166,280, 1805—134,973, 1812 (po wcieleniu po Francyi) 118,882, 1813—130,505, 1838—150,016, 1848—179,006, 1863—201,161, 1870—226,022, 1871 (wyniesienie do stolicy Włoch), 244,484, 1877—282,214. Żadne miasto na świecie podczas tak długiego przeciągu czasu nie zwracało uwagi na siebie w tak uderzający sposób wszystkich ucywilizowanych narodów, żadne nie doznało tak częstych i zmiennych kolei jak Rzym. Popadłszy w ostatniem stuleciu w pewien stan zastój, w ostatniem swém przekształceniu Rzym daje nadzieję, że zbliża się powoli do odzyskania powtórnego rozkwitu.

---



## Lat temu 2400.

(Dzień z życia króla Daryusza.)

podług **Justi**, przekład **St. W.**

Daryusz, syn Histaspesa, był bez zaprzeczenia obok założyciela perskiego państwa, Cyrusa, najzdolniejszym księciem swój dynastyi; podczas kiedy Cyrus ani na chwilę nie wypuszczał z ręki zwyciężkiego miecza, Daryusz, jakkolwiek zajęty z początku poskromieniem rokoszu rozmaitych zbuntowanych ludów, znalazł jednakże czas do zaprowadzenia jak najlepszej administracyi w kraju; wielcy mężowie perscy mianowani zostali cywilnemi gubernatorami rozmaitych prowincyi, albo Satrapii; oprócz tego utworzył stałe wojsko wraz z naczelném dowództwem, które miało sobie poruczone czuwać nad tém, ażeby gubernatorowie nie nadużywali swój władzy; koszta administracyi krajowej opłacane miały być podatkami, w miejsce dawnego patryarchalnego zwyczaju przynoszenia podarków na dwór; a wzdłuż szeregów przez wojsko bronionych dróg przeciągały obok kupieckich karawan, królewskie poczty, które szybko roznosiły w najodleglejsze miejsca rozkazy królewskie i zarazem przynosiły wiadomości o ważnych, zaszłych w państwie wypadkach. Nie dla tego tylko jednakże, że Daryusz ukazuje nam się w Azyi, jako pierwszy panujący, który umie rządzić swoim krajem, nie dla tego, powtarzam, chcę go przedstawić w jego królewskim otoczeniu na dworze, ale dla tego także, że posiadamy o nim najwięcej autentycznych wiadomości, ponieważ czyny swoje w rozmaitych częściach państwa uwiecznił królewskimi napisami, które poczęści nawet w wizerunki jego są ozdobione. — Wiadomo, że kiedy podczas nieobecności Kambizesa, magik jakiś, czyli medyjski kapłan, przywłaszczył sobie panowanie, po-

nieważ Kambizes wracając z Egiptu umarł, nie zostawiając po sobie potomka, wówczas Daryusz wraz ze sześcioma mężami stanu, strącił uzurpatora i został założycielem drugiej dynastji, która była spokrewnioną z familią Cyrusa i dopiero mieczowi Aleksandra uległa.

Ażeby przedstawić sobie wspaniałość dworu króla Daryusza, trzeba przenieść się w czarodziejski świat dawnych mitycznych podań, a jeżeliby to nam za nadto fantastyczném wydawać się miało, zmysł nasz abstrakcyjny dość jest rozwinięty, ażeby nas cofnąć wyobraźnią o 2,400 lat w starożytne czasy. Czytelnik przebaczy, jeżeli od czasu do czasu będziemy musieli wypaść z naszej roli, stracimy spostrzeżenia przypominające nam, że żyjemy w r. 1880. Przypatrzmy się teraz królowi Daryuszowi w dzień uroczystości. Ponieważ najwłaściwiej jest zapoznać się z nim w ojcystej rezydencyi, przeto obiéramy uroczystość na cześć bożka Mithra, przypadającą w jesieni, bo w tym czasie król przebywa w Persepolis, kiedy wiosnę przepędza w Suzie, lato w leżącej na północ Ekbatanie, a zimę w Babilonie. W Persepolis wybudował Daryusz pałac, który dotąd jeszcze świeci wspaniałemi ruinami; w Babilonie tymczasem nie ma ani szczątków, w Suzie znajdują się resztki przedsionka świątyni, a w Ekbatanie kawał posągu i kilka kamieni świetność jego przypominają.

Ażeby otrzymać wstęp do panującego, wyobraźmy sobie, że jakiś udzielny król wysłał nas w posły z podarunkami do niego, aby mu życzyć powodzenia i szczęśliwego rozwiązania bitew ze zbuntowanymi książętami. Niechaj nas nie przestrasza długa droga przez królewskie państwo, bo na końcu téjże ujrzymy zamek, który dzisiaj jeszcze szczątkami swemi wzbudza podziw w podróżujących; tem więcéj, że wówczas podróż tamże mniej była niebezpieczną jak dzisiaj, gdzie tylko niektóre miejsca przebywać można pod opieką co najmniej stu żołnierzy. A więc przepływają i morze dosta-



jemy się do Smyrny, a pod Sardes wstępujemy nogą do królewskiego państwa; które przez Małą Azyą, Niniwę i Arbelę prowadzi nas do Suzy; zkąd przez góry Urier przybywamy do Środkowej Persyi, doliny Araxes i Medus, gdzie tuż przy sobie znajdują się ruiny pomników Cyrusa, Daryusza i Xerxesa. Przechodzimy po moście jedną z rzek, w bliskości której wznoszą się strome pagórki z utrzymanemi dotychczas śladami fortyfikacyi i zakładów wodnych, poczem wchodzimy do spustoszałej obecnie stolicy Stakhra (Istakhr), która długo jeszcze w peryodzie panowania Islamu była jedną z największych miast perskich, a zwróciwszy wzrok w południowo-wschodnią stronę, spostrzegamy sztucznie utworzony na skale taras z marmurowemi budowlami Achaemenidów. Taras ten równa się prostokątnej więcej długiej, jak szerokiej baszcie, przypiérając z tyłu do pasma gór. Jest on zbudowany w tak nazwanym cyklopejskim stylu z kamieni marmurowych, od 15—17 metrów długich i na północno-zachodnim boku posiada czarne marmurowe schody, które przez Sir Roberta Ker Porter, znakomitego podróżnika i malarza, uważane są za najpiękniejsze w świecie; schody te są tak szerokie i płaskie, że 8, lub 10 jeźdźców wygodnie na nich jechać obok siebie może. Wszedszy na schody widzimy przed sobą zaraz tak nazwaną bramę, którą zbudował następca Daryusza. Był to czworokątny budynek mający troje drzwi, wewnątrz cztery wysokie słupy unosiły dach niebiesko pomalowany i gwiazdami ozdobiony i podwoje obydwóch bram zbudowanych w kierunku schodów istnieją po dziś dzień jeszcze, strojne w płaskorzeźbę, przedstawiającą dwóch byków o głowach ludzkich i dwa orły wznoszące się w górę. Wyszedszy przez trzecie drzwi z bramy, znajdujemy się na płaszczyźnie, na której niegdyś wznosiły się pyszne ogrody, i w obec tak nazwanych czterdziestu słupów, zkąd widzimy przez Xerxesa wybudowaną komnatę, mającą z trzech stron wspaniałe portyki i służącą

jako sala do wielkich uroczystości. Sala ta wznosiła się niegdyś na 72 kolumnach. Większa część tychże dzisiaj już nie istnieje; najstarszy europejski podróżnik widział w roku 1621 jeszcze 25 kolumn, obecnie jest ich jeszcze 13. Budynek ten zbudowany wyżej od bramy posiada dwojakie schody, których ściany ozdobione są rzeźbami, przedstawiającemi uroczysty pochód. Za tą komnatą wznosi się znowu cokolwiek wyżej pałac Daryusza, a dalej potem Xerxesa. Więcej ku górom, ukazuje się druga, bardzo obszerna sala, w bok od wyżej wzmiankowych budowli, które tuż nad brzegiem terasy się wnoszą. Z téjże sali, służącej do przyjmowania posłów i jako tronowej sali, zostały jeszcze kamienne drzwi i ramy od okien iz pozostałych w ziemi kamieniach można rozpoznać, że sto kolumn dach jęj unosiło. Z napisów możemy oznaczyć budowniczych co większe jęj części budowali; do czego one służyły można dowiedzieć się z płaskorzeźb: u schodów znajdujemy zwykle wyrzeźbioną straż przyboczną, u drzwi królewskiego mieszkania spostrzegamy króla pod baldachimem u podwoi tronowej sali siedzi on na tronie, a w jadalnej sali pałacu widzimy służbę, niosącą na stół misy ze zwierzyną.

Dzisiaj było trochę trudno otrzymać posłuchanie, ponieważ w dzień uroczystości na cześć boga Mithry król zasiada na tronie w sali o stu kolumnach. Ceremonie na dworze perskiego króla były uciążliwe. Uważanego za boga nie było wolno inaczej go oglądać, jak w całym blasku swego otoczenia. Nie był on jak rzymscy cesarze po śmierci dopięro w poczet bogów policzony, ale za życia już czczony jako nadziemska istota; na obrazach bywał przedstawiany jak mieczem przebija potwora, który miał być wyobrażeniem złego. Już u Egipcyanów Faraon zowie się bogiem; w Niniwie odkryto obraz króla Sardanapala Igo, przed którym znajduje się ołtarz; do Babilonu przybywający cudzoziemiec, zmuszony był modlić się do złotego obra-



zu króla; partyjscy i sasańscy królowie sami się zaliczają w poczet bogów i zwiąż się braćmi księżycy, a poddani ich twierdzą to samo; jeszcze w szesnastym wieku przedstawiono na obrazach królów Georgijskich, otoczonych nimbusem świętych. Podobnie jak bóg Mithra, który ma niezliczoną ilość oczu i uszu, i wszystko widzi i słyszy co się w świecie dzieje, tak samo król otoczony jest niezliczoną ilością oczu i uszu, które wprawdzie nie należą do aniołów, ale więcej do rodzaju ludzkiego, a mianowicie policyantów się zbliżają. Zanim dostaniemy pozwolenie stawienia się w obec tego boga ziemi, musimy wprzód uprosić straż zamkową, ażeby prośbę naszą, na piśmie podaną, oddała królowi. Straż ta składa się z wybranych Persów, ubranych w obszérne, złotem haftowane szaty i noszących złote łańcuchy na okół szyi. Uzbrojeni są w oszczepy o metalowych końcach, u dołu ozdobione granatem, tak samo w łuki i strzały i w wielu miejscach na zamku odbywają straż, a mianowicie strzegą wejścia przy schodach pałacu i przedsionku tronowej sali. Nie otrzymują żołdu, tylko pobierają całe utrzymanie kosztem królewskiej skarby. Jeden z tychże strażników przywołuje tak zwanego posłańca, z których większa część stoi u bram, a ten dopiero oddaje pismo odźwiernemu, który je wręcza królowi. Odźwierny taki nie jest zwyczajnem człowiekiem, ale zwykle jednym z wielkich perskich mężów, oczekujących w przedpokojach na rozkazy królewskie, dopóty, dopóki sam król go nie zwolni. Posłaniec przynosi nam odpowiedź króla. Jeżeli Daryusz znajduje się już w kobiercem wysłanej sali, przeznaczonój do przyjmowania audyencyi, w takim razie prowadzi nas tamże jeden z Greków, nazwiskiem Chiliarch Rhanospates. Ponieważ jako barbarzyńcy nie znamy języka hieroglifów, przeto musimy przybrać sobie tłumacza, których tu wielka jest liczba. Nasza poselska godność i towarzystwo Chiliarcha wzbudza w strażach takie poszanowanie, że

prezentują broń przed nami, jak się to dzieje w naszych czasach, z tą małą różnicą, że perscy wojownicy zamiast prawą, lewą ręką za broń chwytają. Z głębi sali widnieje na wywyższeniu królewski tron, którego zdają się podtrzymywać szeregi przedstawicieli podbitych ludów; na rogach estrady znajdują się cienkie słupy, które unoszą baldachim, na którym wyhaftowany jest symbol bóstwa byki i lwy. Pod baldachimem stoi tron na estradzie, wyłożony dywanami. Model takowego pochodzi z Egiptu i Assyrii. Król Salomon kazał sobie zrobić taki sam tron ze słoniowej kości i cały wyzlócić; po sześciu stopniach wchodziło się na niego, na poręczach wznosiły się lwy, jak to widzimy u Egipskich tronów w grobowcu Ramzesa IIIgo. Na ostatnich nawet wyrzeźbiono w niewolą zabranych nieprzyjaciół. Homer wspomina o stołeczku i o poduszce, na której się opierało, jako należących do tronu. Grecy pisarze wspominają często o złotym tronie perskiego króla; Kurcyusz powiada, że zwłoki Aleksandra złożone były na złotém krześle; a zatem musiało ono być wyzlacane, jak tron króla Salamoma.

Portret Daryusza i zapewne ten, który najwięcej ma podobieństwa do królewskich rysów, znaleziony został w kanale wypływającym z Nilu do Czerwonego<sup>o</sup> Morza; jest on wykonany przez egipskiego artystę, a że z owych czasów już posiadamy wybitne portrety<sup>y</sup> Faraonów, możemy zatem przypuszczać, że i wizerunek z kanału Suezkiego wiernie rysy Daryusza oddaje; podczas kiedy na perskich posągach głowa jego w niczem od innych panujących się nie odróżnia. Zrobiony jest z profilu, nos ma długi w prostej linii z czołem idący, usta cokolwiek naprzód wystające i głęboko osadzone, poważne oko. Króla i otoczenie jego widzimy starannie ufryzowanych, z przodu loki spadają do połowy czoła, a z tyłu kędziory okrywają głowę. Broda także ułożona w loki. Król posiada mnóstwo pokryć na głowę. Na płaskorzeźbach w Persepolis spo-



strzegamy go w diademie, szerokiej obrączce, z nieco podniesionym brzegiem; na rzeźbach zauważano metalowe sztyfty, które służyły artyście do przymocowania złotej blachy do kamienia, na którym diadem bywał wyłobiony. Dodają królowi perskiemu tiarę, (po azyatycku Kyrbasia, albo Kidaris), jaką na azyatyckich rzeźbach widzimy. Tiara był to okrągły kapelusz niebieskiej lub purpurowej barwy, białym welonem owinięty w kształcie turbanu, także diademem nazwany. Późniejsi pisarze opisują tiarę jako służącą do pokrycia skroni i twarzy, i tak na sławnych pompejańskich mozaikach znajdujemy perskiego króla w takiej samej tiarze, tak samo na posągach Partów. Terazniejszy szach Perski nosi kapelusz cylindrowy złotem i klejnotami wysadzony, zupełnie podobny do korony, która zdobi głowy ludzkie sfinksów w Persepolis, a zatem przypuszczamy, że tego rodzaju forma korony istniała już w starożytności. Do perskiej korony tak samo jak do skrzyneczki klejnotów Daryusza, przywiązana jest legenda. Armeński historyk Schapuh († 818) powiada, że wódz króla Dawida, Joab, odebrał królowi Ammonitów koronę i ukoronował nią króla Dawida (2. Samuel 12, 30); Salomon, Rehabeam, Abiam i wszyscy królowie Judei zdobili nią głowę; Nebukadnezar sprowadził ostatniego króla Judy wraz z koroną do Babilonu i zostawił ją w spadku swoim następcom; potem przeszła na Cyrusa i jego familię, a Aleksander wziął ją królowi Dareh (Dariuszowi Kodomannusowi); poczem weszła w posiadanie Antyocha, którego pobił Arzaces i dostała się w udziale Partom i obudwóm pierwszemu Sasanidom. Sapor I, współczesny Konstantyna, był przez tegoż proszony, aby taką samą koronę przysłał do Byzancyi na model. Posłowie przywieźli ją rzeczywiście, Konstantyn kazał taką samą zrobić i potem zamienił ją z przywiezioną, tym sposobem posłowie perscy, którym jak historyk powiada, Opatrzność zaślepiła oczy, odjechali do domu z naślado-

waną. Jest ona do tego czasu (a zatem do 9go stulecia) w pałacu i cesarze nosili ją w Białą Niedzielę.

Spostrzegamy Daryusza ubranego w szerokię, klamrami spinanej szacie, tak nazwanej medyjskiej stule, wysadzanę drogiemi kamieniami i oblamowaną złotem. G. Kurcyusz wzmiankuje, że na sukni królewskiej wyhaftowane były złotem jastrzębie, Filostratus zaś, że osobliwe zwierzęta, zapewne perskie Sfinksy. Na jednej z płaskorzeźb w Persepolis zauważano, że snycérz oznaczył zarysy ozdobami z róż, widocznie dla tego, aby malarz takowe pomalował złotem, celem uwydatnienia purpurowej szaty królewskiej. Pod tą medyjską suknią miał król na sobie purpurowy ubiór z białym paskiem na okół szyi idącym aż do dołu i opasany pasem. Persowie, i to kobiety i mężczyźni, noszą obce Grekom spodnie, które król nosił karmazynowego koloru. Oprócz tego szafranowego koloru trzewiki z korkami i na końcach śpiczaste, jak u Etrusków. Sandały assyryjskich królów nie były u Persów używane, ponieważ nie nadawały się do chodzenia po górach lasem i cierniem zarosłych. Oprócz korony oznacza godność królewską złota laska czyli berło, godło rycerskiej potęgi, jakie znajdujemy w starym Testamencie w ręku sędziów, i które zapewne służyło w najdawniejszych wiekach do ukarania przestępców, jak to czytamy w Iliadzie, że Odyseusz berłem karze Thersitesa, i w drugim psalmie Mesyasza. Według rzeźby w Persepolis w lewém ręku trzyma król bukiet kwiatów, jak się zdaje z lotosu; przed nim idący Persowie zaś kwiat granatu, albo mały woniejący melon, jak to jeszcze dzisiaj zwyczajem jest w Persyi. Ponieważ bogowie u Persów także z bukietem wyobrażani bywali, przeto ma to niezawodnie religijne znaczenie, kwiat lotusu bowiem trzyma w ręku azyatycka i egipska Afrodyta, a młody bożek dnia siedzi także na kwiecie lotusu. Że król ubrany jest w klejnoty, samo przez się się rozumię; oprócz skarbców bowiem posiadali



azyatyccy królowie obfite miny złota i srebra w kraju, które dzisiaj jeszcze słyną, tak samo jako i kosztowne perły w morzu perskim. I tak ma król na palcu złoty pierścień z pieczęcią, do kładzenia nim znaku na uwolnieniach od kary; złote kolczyki, łańcuch i bransolety, a w czasie największych zbytków ceniono wartość królewskich klejnotów na 12,000 talentów czyli piętnaście milionów talarów. Jeszcze dzisiejszy szach perski na uroczystych przyjęciach bywa tak wielką ilością klejnotów obsypywany, że prawie blaskiem swoim oślepia oko ludzkie, (Ker Porter, Travels I, 325) zbytek który zgłodniałym poddanym wprawdzie boleśnie uczuć się daje. Dodawszy, że król nacięra swe ciało maścią z Heliantu, gotowaną z lwim tłuszczem, krokoszem i palmowem winem, a podaliśmy mniej więcej opis jego toalety.

Teraz trzeba przejść na otoczenie króla. Nosiciel parasola, który mu w wycieczkach i przechadzkach towarzyszy, w ocienionej sali pod baldachimem nie jest mu potrzebny, zastępuje go tutaj służący z pękiem piór, służącym do oganiania natrętnych much. Inny służący niesie kosztowną chustkę, polaną wonnościami, aby od czasu do czasu zmysł powonienia u króla podrażnić. Na stołeczku tronu ustawiono dwa naczynia z wonnemi kadzidłami, nad któremi jednemu ze sług powierzono dozór. Najbliżej tronu po lewej stronie stoi łucznik Daryusza, Gobryasz i chorąży, Aspathines; pierwszy był jednym ze sześciu towarzyszków królewskich przy upadku uzurpatora; a pięciu innych, o których Herodot wspomina, stoją tuż obok tworzą; liczbę siedmiu książąt. Naprzeciw nich, po prawej stronie jest miejsce siedmiu urzędników dworskich; tu stoją generał przybocznej gwardyi, nadpiwniczy, nadworny masztalerz Oibares, łowczy koronny, mający pod sobą urzędników myśliwskich, szambelan, szatny czyli stolnik, a siódmy z pomiędzy tychże, Chiliarch, w tej chwili zajęty jest przyjmowaniem obcych. Po tej samej stro-

nie, gdzie znajduje się siedmiu książąt, cokolwiek od tronu oddaleni, stoi siedmiu urzędników państwa; Harazapet albo Wielki Wezyr, kanclerz czyli minister finansów, minister spraw wewnętrznych, później naczelnik kapłanów, Archimobed, wyróżniający się białą szatą, brakiem klejnotów i mającym jako godło swój władzy długą laskę; dalej królewski tajny sekretarz, naczelnik pisarzy i lektorów, którzy nie tylko rozpisują edykta w rozmaitych językach, duplikata tychże składają do państwowych archiwów, ale także — a to mianowicie zadaniem jest ich naczelnika — mają do pisania roczniki państwa, które bywają składane w więzy w Ekbatanie, (albo jak w Starym Testamencie nazywają, Achmatai.) Jeszcze w 10tém stuleciu opisuje jeograf Istakhri, że magowie przechowywali w zamku Dschiz perskie historyczne księgi. W końcu stoi tu jeszcze podskarbi czyli przechowujący królewskie klejnoty i dozorca śpichlerzy ze zbożem. Naprzeciw urzędników państwowych znajduje się pewna część gwardyi przybocznej wraz z kapitanem, trzymającym broń w ręku. W końcu przed samym tronem na przodzie stoi wraz z dwoma urzędnikami piastujący najwyższą godność w państwie, Ariamenes, który wkłada na głowę koronę, nazwany u Partów Surena, u Armeńczyków Thagadir. Surena u Partów, rodzaj conetabla albo hetmana polnego, miał tak wysokie znaczenie, że w wyprawach wojennych tysiąc wielbłądów pod swoje bagaże, a dwieście zamkniętych powozów dla swego dworu niewieściego potrzebował i że na dworze tiarę ozdobioną trzema rzędami pereł nosić mu było wolno. Także ludzie, którzy mieli zasługi względem króla mają przywilój bywania u dworu, znajdując się w ich liczbie nawet tacy, których król swemi krewnymi mianuje; ci mają prawo zasiadać u stołu królewskiego. W sali audencyonalnej znajdujemy kilku satrapów, którzy na uroczystość pośpieszyli do Persepolis, i kilku książąt lennych jako to Sienesisa z Kilikii, który później zgi-



nał w bitwie pod Salamis (Eschyles Persowie 326) i Bedeschecha z Albanii. Personał dworski dotąd jeszcze cały nie wymieniony; ponieważ znajduje się w murach zamku mnóstwo eunuchów, pełniących służbę w komnatach niewieścich, kamerdyner, który oprócz obowiązku ubierania i rozbiierania króla, musi jeszcze codziennie budzić go i to temi słowy: „powstań królu i pomyśl o sprawach, które z woli Bożej na ciebie są włożone;“ później oznajmiciel godzin, ochmistrz dworumasztalerz, nawet dozórca psów, które wysokiego rodu Persowie trzymają w wielkiej liczbie i nawet często i z dalekich krajów, jak n. p. z Indyi sprowadzają; upodobanie to opiera się na religii, gdzie pies odgrywa zabobonną rolę. Ważnem jest dla króla, mieć dobrego doktora; to téż chętnie sprowadza go z zagranicy na swój dwór, gdzie zwykle bardzo jest szanowany.

Perski sposób leczenia nie mógł iść w porównanie z egipskim i greckim; w pismach Zoroastra, istniejących już za czasów starych perskich królów, jest wzmianka, że uczono chirurgii w ten sposób, aby nożyk prosto prowadzić; tamże bardzo naiwnie jest przepisane, żeby kosztem niewiernych chorych sztukę wykształcić, aby ją później na prawowiernych praktykować; również w pismach tych znajdujemy 200 nazwisk nieznanych nam zupełnie chorób. Także i Cyrus powiada, że podług przepisów najlepszych lekarzy urządził sobie domową aptekę. Przeciwnie Egipcianie wcześniej już doprowadzili do wysokiego stopnia sztukę leczenia, mając sposobność przy balsamowaniu ciał dochodzić przyczyny choroby w samym wnętrzu organizmu. Król Daryusz miał także egipskich lekarzy, którzy jednakże pewnego razu nie odpowiedzieli swemu zadaniu i przez to na śmierć osądzeni zostali. Grecki lekarz Demokedes z Krotonu uzdrowił króla i tym sposobem spowodował ułaskawienie swoich kolegów; została mu nawet udzielona łaska, że przedsta-

wiono go królewskim niewiastom, jako tego, który uratował duszę króla, a jako honorarium otrzymał od niewiast tak pełną czarę złota, że kiedy służący ją wynosił, to sztuki złota spadały na ziemię, które on chowając do kieszeni, doszedł do posiadania znacznej sumy. Demokedes ulęczywszy żonę Daryusza, i córkę Cyrusa, Atosę z choroby piersiowej, dostał pozwolenie powrotu do ojczyzny. Znany także jako znakomity pisarz jest Ktesiasz z Knidos, który króla Artaxerxesa Memnona wyléczył z rany, jaką tenże odniósł w bitwie pod Kunaxa, i siedmnaście lat bawił na jego dworze. Król starał się także Hippokratesa do siebie przyciągnąć, ale pomimo wszelkich przyrzeczeń i gróźb mieszkańcy wyspy Kos nie chcieli pozwolić na oddalenie się znakomitego ich ziomka.

Wszyscy ci, którzy zebrani są w audyencyjnej sali i w otoczeniu króla rozmaitością ubiorów, tworzą dziwne widowisko. Król i mężowie stanu mają na sobie medyjskie szaty, które u króla tylko lepszym gatunkiem materii się różnią; widzimy jednakże Persów dawniej daty, którzy nie poddali się miękkiej medyjskiej modzie: ci mają na sobie zarzuconą tiarę, suknię o wązkich rękawach i spodnie skórzane; perski miecz czyli nóż wisi po prawej stronie, a koniec pochwy za pomocą lekko przywiązanego rzemyka przymocowany jest na okół kolana u prawej nogi; przytém noszą długi aż do dołu sięgający płaszcz, przy szyi wstęgami związany. Tam na czele indyjskiego poselstwa stoi człowiek w okrągłym kapeluszu, cokolwiek na tyle głowy osadzonym i ozdobionym perłami, cały owinięty jedwabną szatą, na ręku ma naramiennice, na szyi sznury brylantów. Tam znowu podpada nam pod oko joński Chiton w szatach haftowanych powojem, z zarzuconym malowniczo płaszczem na ramiona; dalej znowu po nad całe zgromadzenie wystaje wysoki kapelusz scytyjskiego dowódcy, a Baktr przechadza się w krótkich butach i fałdzistych spodniach; nawet murzyna jednego spo-



strzegamy pomiędzy sługami Daryusza, owiniętego w skórę lamparta, której blask podnosi czarność skóry, tak samo jak białą cerę Muzenderańczyka czarne włosy i czarny wełniany ubiór. Z pośród tłumu przeciska się człowiek o nieco krótkich nogach, którego typ twarzy o mocno zgarbionym nosie, delikatnie wykrojonych zmysłowych ustach, namiętnych, głęboko osadzonych oczach i czarnych kędzierzawych włosach, jest nam dobrze znany; ubiór jego składa się z kolorowej szaty i sandałów, głowa tylko wąską chustką związana; jest to posłannik wielkiego kapłana, którego obowiązkiem jest uwiadamiać Daryusza o budowli świątyni Jerozolimskiej.

Zaraz przy wejściu w to mięszane towarzystwo podają nam krzesło i częstują śniadaniem, złożoném ze słodczy, które służący nabiéra łyżką ze złotej czary; poczem rozkładają nam serwetę na kolanach i ofiarują chłodzący napój. Potém umywają nam ręce i brode różaną wodą i dają do wążania czarę z aromatycznymi ziołami (porównaj Sir R. Ker Porter, Travels II, 250).

Wreszcie Chiliarch z laską w ręku stojący, uwzględnia naszą prośbę i przedstawia nas królowi, który jako znak przyzwolenia berło w naszą stronę pochyła, jak to czynił król Ahasverus przed piękną Esterą. Najpiérw jesteśmy zobowiązani paść przed majestatem królewskim na kolana; poczem powstajemy i prawą ręką zatykamy usta, aby oddechem nie owionąć królewskiego oblicza, które w dość wielkiem oddaleniu od nas pozostaje. W przemowie naszej wiśniemy nie tylko pozdrawiać Daryusza, jako panującego i króla królów, ale także jako piastującego godność Boga; prócz tego chcąc zaskarbić sobie łaskę króla, wymieniamy podarunki, przywiezione karawaną do Persepolis. W takim razie król nie omieszka nam się odwdzięczyć następniemi darami: medyjską purpurową szatą, pysznym namiotem, ozdobionym w kwiaty, srebrném krzesłem, po nad któ-

rém wznosi się połączany parasol, złocistemi naczyniami, wysadzanemi drogiemi kamieniami, złotym łańcuchem, złotemi bransoletami, pałaszem i siwoszem niżejjskiego chowu z królewskiej stajni.

Wywiązawszy się za pomocą tłumacza z naszego zadania, otrzymujemy jeszcze oprócz podarunków, pozwolenie uczestniczenia w królewskiej uczcie, która przy dzisiejszej uroczystości na cześć boga Mithry w wielkiej sali się odbywa. Sala ta nie istniała jeszcze za czasów króla Daryusza; jednakże możemy pozwolić sobie tego małego anachronizmu i zmusić cienie króla, aby z miłości ku nam przestąpił próg budynku ręką jego syna wystawionego. Gdyby to nie miało się zgadzać z naszymi pojęciami o historii, to w takim razie za pomocą czarodziejskiej różdżki przenieśmy się do Suzy; tu bowiem znajdowała się taka sama sala jak w Persepolis, zbudowana przez Daryusza, tutaj też zaszła znana historia pomiędzy Ahasverusem a piękną Esterą.

Jeżeli dzisiaj przypatrzymy się ruinom sali w Persepolis, to musimy dojść do przekonania, że ponieważ kolumny téjże były za cienkie i zanadto od siebie oddalone, aby móżdź udźwignąć sklepienie z kamienia, przeto ono musiało być z drzewa. Oprócz tego na wierzchołkach tychże kolumn przymocowywano laski, na których za pomocą srebrnych obręczy zawieszano kobierce, oddzielające salę od trzech portyków czyli przedsionków. Tym sposobem zrozumiemy to co pisze Estera w swojej Księdze (rozdział I, wiersz 6): „Porozwieszano tam na marmurowych kolumnach białe, czerwone i żółte chusty, ujęte w srebrne pierścienie.“

Persowie w ogólności nie wiele jedzą, więc téż stół królewski, choć obfituje w jadło, to tylko dla oka, a nie dla użytku. Cały zbytek polega na przyozdobieniu go w przepyszne kruszcowe naczynia i w różnego gatunku słodycze, które Persowie w dużych ilościach na deser spożywają, idąc w tém za przykładem króla.



Z powodu wrażenia, jakie zbytek perskiego stołu wywarł na Grekach, a mianowicie na Spartańczykach, opowiada nam Herodot następującą anegdotę: Król spartański, Pauzaniusz, mając sposobność pewnego razu uczestniczenia w uczcie zgotowanej przez znakomitego perskiego kucharza, a porównując ją z temi, które dawano w jego państwie, widział się zmuszonym wyrzec do swych poddanych: „Zwołałem was, greccy mężowie, aby wam pokazać głupotę króla Persów, który tak świetny sposób życia opuszcza po to, aby przybyć do nas, ubogich, nędznych ludzi.“ To samo co Pauzaniusza, spotkało także perskiego króla Ochusa; kiedy bowiem Egipcyanie zbuntowali się naprzeciw Persom i wraz z królem przeciw nim walczyli, zostali pobici, a wzięty w niewolę król został zaproszony na ucztę przez Ochusa. Ujrzawszy dostojny więzien świątynność i przepych pańskiego stołu, uśmiechnął się i rzekł: „Jeżeli chcesz widzieć, w jaki sposób szczęśliwy król ucztuje, to pozwól jednemu z moich kucharzy egipski obiad wystawić.“ Na co Ochus, zakosztowawszy takowego, odrzekł: „Niechaj zatém bogowie wypuszczą cię ze swój opieki, Egipcyaninie, że porzucasz takie ucztę i za naszemi skromnemi się ubiegasz.“ Historia ta zadaje kłam anegdocie o Egipcyaninie Tachosie, który żyjąc skromnie u siebie, w Persyi zmuszony do zbytowego życia, umarł z nadużycia pokarmów.

Grecki komedyopisarz, Menander, ocenia w jedném ze swoich dzieł koszta zbytowego bankietu prawie na jeden talent, t. j. 1375 talarów; króla Persów tymczasem utrzymanie codzienne całego dworu kosztowało czterdzieści talentów, a więc 55,000 talarów.

Zwykle król jada sam, czasami tylko ze swoją małżonką i dziećmi; Artaxerxes zapraszał także matkę do wspólnego stołu, a wtedy zabięrała ona miejsce przed nim, a żona za nim. Dzisiaj jednakże Daryusz daje obiad dla wielkich mężów dworu, i pewna liczba osób ucztuje w tym samym co on pokoju, tylko

zasłoną od niego oddzielona; mianowicie dwunastu tak zwanych towarzyszków jego stołu zostali po obiedzie do niego przyzwani, aby wspólnie z królem wypić kielich wina. Król spoczywa na wezglówiu o złocistych nogach, całe towarzystwo zaś na poduszkach, na ziemi i to tak, że ten, który z pomiędzy nich największe ma zasługi, znajduje się po lewej stronie, ponieważ lewa strona na więcej niebezpieczeństw jest wystawiona, jak prawa; następujący znów po prawej, trzeci lewej i tak dalej.

Z początku Persowie, tak samo jak bohaterzy Homera, nie leżeli tylko siedzieli; później dopiero nabrali tego zwyczaju, po zawojowaniu państwa Sydów i Medów; tymczasem pozostało krzesło, tak samo jak widzimy, uroczystym miejscem króla, a nawet i królowej. Zwyczajem jest jadać ze spuszczonego oczyma. Zastawieniem stołu trudni się ochmistrz dworu, przyczem taka jest obfitość potraw, że i sługi się najedzą do sytu i psy otrzymują duże racye. Jeżeli król chce kogoś łaską swą zaszczyścić, przysyła mu półmisek z własnego stołu. Goście i król bywają przed zaczęciem uczty uwieńczeni kwiatami, przez osobnych, specjalnie na ten cel przeznaczonych służących. Przepych uczt perskich znanym był w starożytności, jak to wiemy z Horacjusza; pewne okolice miały przywilej dostarczania stosownej ilości produktów do dworskiej kuchni. Stoł widzimy nakryty kosztownymi obrusami, połyskującymi srebrnymi i złotymi naczyniami i pucharami, zwierzyne i drobiazg, których codziennie masami zabijano, dawano na stół pokrajane. Królowie z godnym uznaniem patryotyzmu, nie jadają nic co przychodzi z obcych krajów, i kiedy razu pewnego, służący podał Xerxesowi na deser attyjskie figi, dostał rozkaz, aby więcej tego nie powtarzał. Przypatrzmy się teraz potrawom, które na ogromnym stole w środku sali porostawiono. Szafranem pomalowane bułki i placki są z trojkiego rodzaju pszennej mąki wypiekane; spo-



strzegamy tutaj pocukrowane placuszki ze séra, klóski z jęczmiennój krupy i mąki, z sałatą zaprawioną gorzkim sosem; także nie brak chrzanu i kaparkowego sosu. Z pieczeni mamy do wyboru baraninę, skopowinę i udo z jelenia; niektóre z potraw wskazane nam są jako z mięsa oślego i wielbłądziego i zapewniają nas, że te zwierzęta bywają tak samo jak koronacyjne woły, w całości pieczone. Później spostrzegamy tu jeszcze gęsi, gołębie, strusie, koguty i inny drobiazg; cebulę i czosnek, nawet *Asa foetida*, którą jeszcze teraz mieszkańcy Sistanu do wszystkich potraw używają, a wówczas używali także Persowie.

Na wspomnienie *Asa foetidy* dreszcz nas przejmuje, ale sąsiad nasz wyprowadza nas z błędu, ponieważ wtenczas nazwa ta oznaczała rodzaj mанны, która nie tylko, że była smaczną w jedzeniu, ale nawet dla zdrowia potrzebną. Pieprzu, jak się zdaje wówczas jeszcze nie znano. Później znajdujemy etiopską wódkę i kmin-kówkę, anyż, rodzyнки, ciemierzycznik, rzodkiew' i rzepę zaprawioną w soli, nasienie od pietruszki; w oliwach téż jest wielki wybór; oliwa z ciemierzyczniku, ze słodkich, suszonych migdałów, później oliwa z perskich żółdzi, która ma smak masła i jest wynalazkiem zamieszkujących stepy Scytów. Wypada nam się zapytać, w jaki sposób spożywa się te wszystkie potrawy, ponieważ nie widzimy tutaj ani noży, ani widelcy, ani nawet drążków używanych u Chińczyków; służący tylko łyżkami leje sos i zupę. W środku sali na okół wielkiego, okrągłego stołu, na którym służba przygotowuje potrawy, stoją na jedną stopę wysokie stołeczki, na okół których znowu leżą poduszki; ci, którzy mają ten wydział, tak są zręczni w sztuce wygodnego włożenia poduszki, iż utrzymują w Persyi, że pod tym względem Grecy nie doszli tak daleko. Na środku stołka znajduje się metalowa misa napełniona gęstą papką, obok której dla każdego z biesiadników stoi głęboki taléř z pokrajaném mięsem i innymi potrawami, przytém także i chléb.

Służba podaje miednice i ręczniki do umycia rąk, poczem lewą rękę chowa się we fałdach ubioru, a na dany znak wszyscy się pochylają i prawą ręką zaczynają jeść. Mięso i inne twarde potrawy trzeba zgrabnie ułożyć na chleb i tak połknąć, aby nigdy palcami ust nie dotknąć. W przeciwnym razie można utrzyć sobie usta, obok leżącą serwetą. Sposób ten jedzenia bez noży i widelcy nie wydaje się tak nieapetyczny, jeżeli się zważa na zręczność, z jaką Persowie to czynią — mimo to nam byłoby trudno do niego się zastósować.

Suche potrawy nie uspasabiają do żartów lub improwizacyi, na to potrzeba czegoś, co zmienia humor i zwykły kierunek myśli; wino wygładza najposępniejszy umysł, ożywia najtępszy, czyni zwycięzcą w walce. Ilość szlachetnych korzeni, które przez język nasz przeszły, wymaga chłodzącego napoju, w co też królewski stół dostatecznie jest zaopatrzony: deser, który trwa dłużej jak cały obiad, i do którego po powtórném umyciu rąk się przystępuje, składa się z różnego gatunku konfitur, ciast, miodu i owoców. Najkosztowniejsze owoce, ozdabiające nasze stoły, pochodzą z Azji, a mianowicie ze stariej Persyi: pomarańcze, brzoskwinie, apykozy, pigwy, wiśnie, cytryny — melony, figi, śliwki, migdały, suszone daktyle, które tymczasem podobno ból głowy sprowadzać mają; szczególniej terebinty, albo pistacye należą do najulubieńszych owoców perskich. Jedna z potraw, której sposób przyrządzania jest nam nieznan, a która nazywa się mózgiem Jowisza, albo królewskim, tak jest lubiana, że zwykle wszystko co najlepsze nazwiskiem jej oznaczonem bywa. Do tych wszystkich słodkich rzeczy mamy także wielki wybór win, które służba trzyma w lodzie; sorbety, cytronada, palmowe wino błyszczą w pucharach. Znajdujemy tutaj wino z Chorasanu, które w niesmolonych kadziach trwa do trzeciego pokolenia, z Merwu, gdzie winogrona mają po parę stóp długości, z Kermanu, zkad późnziej Rzymianie winną latorośl



sprowadzali, także i greckie wina, za poradą greckich lekarzy, tu się znajdują. W gorących słowach jesteście przez Persów do picia i jedzenia namawiani. Król każe sobie podać podczaszemu złoty kubek w kształcie jaja, napełniony winem z Chalibonu lub z Aleppo; różowe usta chłopca muszą wpiérw dotknąć czary, z obawy, aby nie było zatrute, poczem on Daryuszowi tak wiele z niego naléwa, że tenże byłby korzystał z pozwolenia ukazania się nieco odurzonym w dzień uroczystości na cześć boga Mithry, gdyby silna natura nie była temu się oparła. (Athenaeus Deipnosophistae X, 434 d).

Wiemy przecież o poprzedniku jego Kambizesie, który, kiedy po zbytнім nadużyciu trunku Prexaspes robił mu stósowne co do tego uwagi i przedstawienia, rozgniewany i chcąc pokazać, że ręka mu nie drży, synowi jego przeszył strzałą serce. — Chłopcy naléwający wino ubrani są w białą suknię i klejnoty, a podają czarę trzema palcami. Archimagus, który już w czasie uczty potrafił powstrzymać się od mięsa z zabitych zwierząt, i teraz siedzi nie biorąc do ust wina; pije on tylko wodę, pochodzącą z Choapesu pod Suzą i dzisiaj jeszcze na Wschodzie z dobroci swój znaną. Sam król wybierając się w dalekie podróże, lub wyprawy wojenne, każe wodę tę gotować i potem wlewać do srebrnych naczyń, które na wozy ze sobą zabiéra. Teraz ukazują się także muzykanci i tancerki, aby potrzebny do dobrego strawienia obiadu spokój, artystycznie ubarwić.

Perska muzyka wówczas już dość była wydoskonalona, mając sposobność wykształcenia się w egipskiej i lydijskiej szkole; później nawet stała się mistrzynią muzyki arabskiej. Najpiérw występuje śpiewak czyli Angares, który o struny instrumentu podobnego do cytry uderza smyczkiem z kości i opiewa zwycięstwo Cyrusa, w którym tenże na czele swych walecznych hufców pobił króla nieprzychylnéj

sobie dynastyi i panowanie nad Azyą przekazał domowi Achaemenidów. Potém kobiety królewskiego dworu wyręczają śpiewaka i po krótkim preludium na piszczałce, rozpoczynają taniec, przygrywając sobie przytém na cymbałach i klaszcząc rękoma. Pomiędzy tańcami śpiewają chóry. — Satrapa Babiloński, Annaros, miał chór złożony z 150 artystek, które przy stole śpiewały. Kiedy Partowie pobili Krassusa, damy te improwizowały szyderskie poemata na rzymskich wodzów; Parmeniuszowi jednakże po oblężeniu Kodomanusa w Damaszku, wpadło ich 329 w ręce.

Jeżeli zamiast dalej słuchać muzyki, pragniemy odetchnąć świeżem powietrzem, wychodzimy tedy z sali i udajemy się do ogrodu, rozciągającego się wzdłuż szerokiego budynku aż do początku bramy, a tutaj zachwycamy się monotonnym szmerem kunsztownych wodotrysków, z których wytryskująca woda wypływając ze źródła górskiego, za pomocą podziemnych, z kamienia wykutych kanałów tu dotąd sprowadzoną została. Nie zastanawiając się nad olbrzymimi drzewami, podziwiamy stojące w dużych naczyniach na schodach, cyprysy, drzewa poświęcone świętemu ogniewi, których gałęzie, podobnie jak płomienie w niebo się wznosiły. Na tarasie pełno klombów z najwonniejszymi kwiatami, różami, które powstając z krwi Adonisa, są symbolem miłości; dalej widnieje kwiat słońca, bożka Mithry, krokosz, kwiat pól i łąk, lilie, hyacynty, aloesy, fiołki narcyzy i inne krzewy pnące się po nad bramą. Ogród założony jest w prostych liniach, cały obwiedziony płotem z filadelfonu, rośliny podobnej jaśminowi, z której gałęzi łatwo dających się nagiąć, utworzyć można nieprzejrzystą siatkę.

Tymczasem król powstał od stołu, ku ogólnej radości wszystkich, którzy rozgrzani winem pośpieszyli chłodzić się na świeżem powietrzu i ucieszyć się cudnym wieczorem. Konie zostały osiodłane, król wskakuje na swego konia i jadą obok prezentujących broń



pułków przez marmurowe schody do kawał od pałacu oddalonyj stolicy, poprzedzeni awangardą. Każdy ze spotkanych po drodze jeźdźców musi zsiść z konia, a pieszo idący zdejmują kapelusze i padają przed królem na kolana. Z tamtej strony miasta wznoszą się prostopadłe ściany gór, a naprzód wystającą grupę marmurowych skał Achaemenidzi obrali sobie na grobowce. Dariusz właśnie zmierza do tego punktu, bo po ukończonej budowie pałacu, przyszłe jego mieszkanie najwięcej na sercu mu leży. Zdaje się, że w krajach, gdzie rozpowszechniona była nauka Chamitów, w Babilonii, Egipcie, północnej Afryce aż do wysp kanaryjskich, istniała wiara, jakoby zmartwychwstanie dusz stało w związku z przechowaniem ciała; dla tego wszędzie tutaj balsamowanie odbywa się na szeroka skale i przechodzi prawie w bałwochwalstwo. Także Persowie przejęli ten zwyczaj w Babilonii, kiedy pokrewne im szczepy Indów, Medów, Greków Sławów i Celtów nie kładły żadnej wartości na takie balsamowanie ciał i zakopywali je w ziemię, lub palili. Stósownie do wyżej wzmiankowanych pojęć, wieczne mieszkanie perskiego króla zaopatrzone jest we wszystko i urządzone na tak trwałych fundamentach, aby potędze czasu oprzeć się mogło. O grobowcach Achaemenidów łatwe możemy powziąć wyobrażenie. Wystawmy sobie prostopadłą ścianę ze skały, a w niej od 60—70 stóp wysokie, po nad dolinę wznoszące się w formie krzyża wydrążenie, 14 stóp głębokie i około 100 stóp wysokie. Krzyż ten rozpada się naturalnym sposobem na trzy części: wyższą, niższą i środkową najszerszą; pojedyncze części krzyża są tylko w połowie tak szerokie jak główna jego część, tak że 53 stopnie szeroka część środkowa, posiada jeszcze raz tę samą objętość co dwie inne części. Ostatnie jednakże są o jedną piątą szersze jak wyższe. Dolna część około 33 stóp szerokości mająca jest gładko ociosana; bez żadnych ozdób. Średnia, szeroka część

jest w tym samym guście jak fasada pałacu Dariusza w Persepolis; podpierają ją cztery kolumny na 7 stóp wysokie, wykute ze skały. Na wierzchu kolumn leżą belki, ułożone w kształcie trójzęba. Po nad architratem, na gzymsie, w samym środku, stoi krzew kwiatu, biały Haoma, który udziela nieśmiertelności, a po obu stronach ośmiu lwów, jeden za drugim. Pośród dwóch środkowych kolumn znajdują się drzwi do grobowca wiodące, ale nie używane, bo do złożenia zwłok zrobiony jest w podłodze otwór  $4\frac{1}{2}$  stopnia wysoki, który zaraz po odbytej ceremonii zamurowanym zostaje. W górnej części krzyża wykuta jest estrada, której podwójne rusztowanie, przez czternastu ludzi bywa noszone; krawędzie jej podobnie jak u estrady w sali tronowej, są przybrane rozmaitemi ozdobami, końcami dotykając głowy potworu. Na tej estradzie stoi król na trzech stopniach, trzymając łuk w lewej ręce, a prawą pobożnie w górę wznosząc. Po prawej stronie na trzech stopniach stoi ołtarz ze świętym ogniem, a zupełnie w górze unosi się bóstwo, w orle skrzydła przybrany pierścień, z którego wykazuje się figura przybrana w medyjską suknię i diadem; w prawym ręku trzymająca wieniec, a lewą dająca błogosławieństwo. Na prawo w rogu na wschód widać kulę słoneczną. Sens tego urządzenia jest jasny. Dolna, gładka część krzyża, jest to mur, czyli taras, na którym wznosi się pałac, środkowa zaś część grobowca ma być odbiciem fasady tegoż. Wyższe piętro pałacu najpewniej z drzewa zbudowane i z tej przyczyny w Persepolis nie ma już ani szczątek z niego, wyższe piętro zatem ukazuje nam się w wyższej części krzyża, a posąg króla wykuty z kamienia stoi na płaskim dachu, aby powitać światło słońca i ziemski obraz jego, ogień święty. Persowie mieli zwyczaj modlenia się na wywyższonych miejscach; to też tutaj po nad grobowcem król zanosi swe modły po drodze z pałacu do raję.



Wnętrze grobowców rozmaicie bywa urządzone; w ogóle znajdują się kwadratowe otwory do złożenia zwłok, wykute w skale i poprzykrywane kamiennymi płytami.

Król Daryusz przypatruje się pracom perskich i greckich snycerzy, którzy z niezmordowaną pilnością ryją napisy na grobowcu i na posągu wyobrażającym króla. Jakkolwiek dziwne musi ogarniać go uczucie na myśl, że za pomocą windy z wierchołka skały ciało jego zabalsamowane, spuszczone zostanie do ciemnego grobowca w skale, to jednakże nie przypuszczał, że właśnie z powodu wykończenia tego grobowca rodziców swych w okropny sposób utraci i to jeszcze przed swoją śmiercią, która nastąpiła w 63 roku jego życia. Ażeby bowiem przypatrzeć się z bliska grobowcowi, Hystaspes wraz ze swoją małżonką kazali się spuścić za pomocą lin na wązkie i płaskie miejsce u wejścia do grobowca; ludzie, którzy trzymali liny przelękli się nagle ukazaniem się olbrzymiego węża i wypuścili je z rąku, a oboje rodzice spadli ze spadzistój wysokości i roztrzaskali się o skałę.

My jednakże pozostawmy Daryusza własnym jego myślom, a odwróciwszy kroki od téj skały, cmentarza życiodawców, jak ją lud zowie, udajemy się do Szirasz, tego rajy nad Roknabadem, gdzie słowiki nucą w różanych gaikach, a przy świetle lampy śpiewa się piosnka Hafisa opiewającego dobroczynny nektar, perłami staczający się do kieliszka, a do którego zaprasza nas wolnomyślny Pers, pomimo zakazu koranu, abyśmy kosztując go, zapomnieli o nędzach tego żywota, które nawet Achaemenidów i Cezarów dosięgły:

„Chodź, mówi Hafis, wychyl puchar wina ze mną; tam w rajy nie znajdziesz gładkiego zwierciadła wód Roknabadu, ani różanych brzegów Mozelli.“

## Nasz niedźwiędź.

---

W samym środku jak sły-  
chać) mają swoje dwory

Dumny tur, żubr i niedź-  
więdź, puszczeni imperatory.

Mick.

Idąc cały dzień głównie przez lasy „Kostryce i Maryszeska“ pod Czarnohorą, gdzie świerki i jodły, niby arkady gotyku wystrzeliły po nad nami, a gdzie spodem ścielą się gęste borowiny i bujne paprocie rozpuściły swe piérzaste wiéchy, gdzie wreszcie wszérz i wzdłuż pośród drzew najsilniejszego rozwoju leżą obumarłe wykroty olbrzymie, których zczerwoniałe szpilki na gałęziach opartych na poduszkach mchów świadczą o dokończonym kresie życia, a pod których korą obrały sobie siedzibę najniebezpieczniejsi lasu nieprzyjaciele, brunatne korniki, przypomniał mi się obrazek lasów dziewiczych, pomimo, że siekiéra po miejscach przystępnych na dobre już zawitała. Tu przedstawia się téż nam widok wzniosłej, ale romantycznodzikiéj przyrody — a życie i śmierć walczące na każdym kroku, przejmują nawet najtwardszą duszę i uparkarzając człowieka wobec wielkości dzieł potężnego i wspaniałego Stwórcy!

Tak poważnie nastrojeni i umęczeni zdążaliśmy już przy zmroku płajem, (ściéżką górską) do najbliższej koliby (szałas), która stała tuż za lasem, niby na straży szerokiej połoniny. Psy szczekające broniły nam wstępu, atoli wkrótce wataha (baca) wyjrzawszy z koliby i spostrzegszy małą karawanę podróżnych, donośnym głosem uwolnił wiernych stróżów od miłego dla



nich obowiązku. Hucuł znany z gościności powitał nas i zaprosił do koliby. Ja też będąc przeziębiony udałem się natychmiast do wnętrza koliby, aby przy ognisku trochę się ogrzać. Gdy po chwili owczarze owce w staj wydoili, a przewodnicy opatrzyli na noc swe konie, usiedliśmy wszyscy z watahą około watry, (ognisko), podczas gdy jeden z owczarzów przyniósł z bliżkiego potoku świeżej wody na noc, a drugi krzątał się około kotła wiszącego na łańcuchu nad watrą, gotując koleszę czyli mamałygę, inni zaś przynieśli drzewa do watry i gałęzie choiny, które miały mi służyć na noc za materac. I tak zaludniło się wkrótce dość sporo to nędzne schronisko. Po należytym uczęstowaniu hucułów przezemnie podczas wieczerzy, zaczęto rozprawić o dawnych opryskach, o Doboszu, o nadzwyczajnych duchach i siłach, w które huculi wierzą. A gdy wreszcie skierowałem rozmowę na niedźwiedzia, natychmiast jeden z owczarzów łegin (starszy parobczak), skarżąc się na psoty, jakie niedźwiedź im często wyprawia, nazwał go „toj staryj“, a wataha z uśmiechem dodał: („toj wujko“.) Trzeba wiedzieć, że huculi bojąc się wywołać, jak to powiadają „wilka z lasu“, gdy o niedźwiedziu mówią między sobą, powyższemi słowy o nim wspominają. Czasem zwią go też „mysiem.“ Mnóstwo faktów zaczęto mi opowiadać, świadczących o wielkiej szkodliwości tego zwierzęcia w tamtejszych górach, oraz że ilość ich musi być spora, kiedy każda prawie połonina, których obszar kilkanaście mil kwadratowych zajmuje, boi się niedźwiedzia.

Opowiadali mi, że dawniej byli tacy ludzie między hucułami, którzy się „łowyły z medwedem“ (mowali się z niedźwiedziem).

Niedźwiedź, zwykle tu mały, nie mógł nic szkodzić hucułowi na ciele, gdyż rzemień szeroki i twardy chronił go od przedziurawienia pazurami. Dalej opowiadano mi, że chłopci wołoscy z Bukowiny są bardzo odważni, a jeden w następujący polował sposób: „Ci-

łyj obmatyw sia medom i położyw sia na téj steżci, kuda medwid' wse perechodyt; jesły medwid' pryjszoł na neho, to toj leżał duże tycho hejby mertwyj, a jak znajomo szczo medw' mertwoho ne bude nikoły jisty — tak zacne medwid' łyzaty mid, a Wołoch w tym czasi majuczy niż duże wyostrenyj i duże dołhyj, sadyt mu toj niż w żywit — medwid' duszkom pidskoczyt i wże tak osłabyt sia, szczo czołowikowi wże nic wdijaty ne może, bo kaluchie wyłaziat; tochdy dobywaje jeho Wołoch i zdojmuje szkiru.“ (Cały obsmarował się miodem i położył się na ścieżce, którą niedźwiędz zwykł był chodzić. Gdy niedźwiędz przyszedł do niego, to ten leżąc cicho udawał nieżywego, a takiego jak wiadoma, niedźwiędz się nie ima. Wtedy zaczął niedźwiędz zlizywać z niego miód, a Wołoch wpakował mu w brzuch nóż długi i ostry i rozpruł go jednym zamachem tak, że niedźwiędz upadł, a potem dobiwszy go, zdjął z niego skórę). Opowiadano téż, że w miejscach gdzie niedźwiędz dla miodu zagaszczu do pszczoł na drzewo, zawieszają przed otworem barci ciężki kloc. Niedźwiędz chcąc się dostać do otworu, odsuwa głową kloc, który w téj chwili go uderza. Próbuje on to raz wtóry i trzeci, lecz za każdym razem otrzymuje uderzenie coraz silniejsze, gdyż zniecierpliwiony i rozgniewany niedźwiędz coraz silniej kloc odtrąca. Wreszcie kończy się ta scena powaleniem niedźwiedzia z drzewa, gdzie na ziemi ostre wbite są koły i na nich się zabijał.

Sposobów wymienionych wyżej miano używać téż na Litwie, więc nie dziw' że mogły i u hucułów istnieć, co można przypuścić po dzisiejszych jeszcze niektórych odważnych hucułach, jako prawdziwych potomkach Nemroda. I dziś huculi albo zastawiają na niedźwiedzia żelaza, albo łapki drewniane z klocem (słupci), albo téż z lichą strzelbiną w ręku śledzi hucuł niedźwiedzia tak długo, dopóki przy dobrej sposobności celnym strzałem nie powali go trupem. Znany jest w Żabiu hucuł myśliwy Toniuk, który przez swoje życie trzydzieści



zabił niedźwiedzi. Drugim równie słynnym strzelcem jest Iwan Pauluk w Dorze, który dotąd jedenaście zabił niedźwiedzi. Inny znowu Wołczuk z Hryniawy, powalił także trzydzieści niedźwiedzi, a strzelba tego ostatniego, którą tyle zabił „wujków“, ma być wystawiona na przyszłej etnograficznej wystawie Czarnohorskiej bieżącego roku w Kołomyji.

Bez przesady więc można hucułowi przypisać zręczność w używaniu strzelby i w rzucaniu toporkiem lub siekięią, bez której nigdzie w drogę się nie puszcza i mało kto potrafi lepiej od niego zwięrsa ślady wyszukać, wytropić, stawiać zasadzki i podstępem ubijać, chociaż i w myśliwstwie, jak wszędy pełno u niego przesądów. I tak n. p. gdy hucuł strzelbę kupuje, nie bierze jęj wprost z rąk sprzedajęcego, lecz każe w lufki pięrwęj włożyć po dwie loftki i położyć strzelbę na ziemi, a obwinęwszy potęm rękę kawałkiem jakiego sukna, bierze ją ostrożnie z ziemi i niesie do domu. Loftki wyjęte z lufek zachowuje, lub jeżeli niemi strzela, to powinien koniecznie celnie trafić, choćby tylko do celu. Albo, jeżeli hucuł idzie na polowanie, a kobięta z próżnemi rękami drogę mu przejdzie, wróży sobie na pewne niepowodzenie, a im większy ciężar owa kobięta w rękach dźwiga, tęm większego spodziewać się może szczęścia. Księdz Witwicki podaje tęż, że gdy hucuł wybiera się na niedźwiedzia, trzyma się ściśle swojego przysłowia: „Medwedia ne wbyty, póki kris ne poświętity“. (Nie zabijaj niedźwiedzia, dopóki nie będziesz miał strzelby poświęconęj). W tym tęż celu przynosi do cerkwi 1 — 2 kule do poświęcenia i prosi księdzę, by go wyspowiadał i by na jego intencyją mszę św. odprawił, aby te kule podczas tęj mszy leżały na ołtarzu pod kielichem, i by je wreszcie poświęcił. Z takiemi kulami niby amuletem czuje się bezpiecznym i odważnie wyrusza na niedźwiedzia upatrzonęgo już w knieji.

Gwarząc przy ognisku i ciepłęj herbacie o różnyh

przygodach, uczuliśmy potrzebę położyć się do snu — a owczarze wyszli jeszcze obejrzyć w staji, czy wszystko jest w porządku.

Ale ledwo pokładliśmy się i w kolibie nieco ucichło, usłyszeliśmy mocne ujadanie psów, a wkrótce też dał się słyszeć krzyk: „staryj medwid“ i kiedy jeden porwał z watry głównią palącą się, inni krzykiem i kołami usiłowali odpędzić niedźwiedzia. Po chwili dali nam znać pastérze, że niedźwiedź, skradający się do owiec, wcześniej przez psy zwietrzony, został tą rzązą wypędzony, nie wyrządziwszy im żadnej szkody. Po tém małym i zajściu znowu wszystko ucichło, a ja postanowiwszy daty dotyczące się życia niedźwiedzia naszego zebrać, twardo usnąłem, bym nazajutrz pokrziepiony dalej mógł ruszyć w góry.

Niedźwiedź nasz, zwany także brunatnym (*ursus arctos*), mimo krępej i ociężałej swój postaci, z kąd powstało przysłowie: „niezgrabny jak niedźwiedź“, jest dość zwinny w chodzie. Przytém biega szybko, mianowicie pod górę, tak iż człowiek nie łatwo ujdzie jego pogoni; także pływa doskonale i drapie się z łatwością na drzewa, w czém za młodu się ćwiczy. Ciało niedźwiedzia okryte gęstemi kudłami maści płowej, burój aż do czarnej, lub srebrzysto czarnej w rozmaitych odcieniach. Od téj téż barwy, od wielkości, jako téż od jadła, zowią go bartnikiem, miodusiem, mysiem, mrownikiem, mrowiecznikiem, pławnikiem itd.

Okazy całkiem czarne są u nas rzadkie, najpospolitszym jest niedźwiedź maści burój. Hucuł Toniuk miał na trzydzieści niedźwiedzi, które ubił, tylko dwa z czarnym włosem i końcami srebrzystymi. Młode niedźwiadki mają białą obrączkę około szyji. Głowa niedźwiedzia gruba z płaskim ciemieniem a wypukłym czołem, pysk ściągły, krótki, uszy stojące, krótkie i okrągławe, a oczy małe z powiekami ukośnie rozszczypanymi. Ze zmysłów najostrzejsze ma powonienie. Zdobycz wietrzy na kilkaset kroków; słuch i smak ma



wyrobiony, a wzrok słaby. Zębów ma czterdzieści, z tych na przodzie po 6 siekaczów drobnych, po 1 kle potężnym, stożkowatym z każdej strony i po 6 zębów trzonowych. Zęby sęczkowane są płaskie jak u roślinożérnych zwierząt, zęby szczerbowe wątle, rzadkie i wczesnie wypadają, a zęby tnące mniej wydatne niż u innych drapiezców. Szyja krótka, kadłub tuszysty z wypukłym grzbietem, ogon krótki w kudłach ukryty, odnóza grube, a łapy następne z nagą podeszwą modzelowatą o pięciu palcach uzbrojonych w potężne, zakrzywione i ostre pazury, tworzą tropy, które podobne są do bosiej stopy człowieka; tylko pazury mocno się wciskają.

Ojczyzną niedźwiedzia brunatnego są kraje umiarkowanego podniebia na północnej półkuli. Trafia się także w Pyreneach, a rzadziej w Alpach. W Angliji już wytopiony od r. 1057. W Turyngiji zabito ostatniego w r. 1686, a w Bawaryji w r. 1835. W Królestwie Polskiem go nie ma. Na Polesiu i Litwie jeszcze się znajduje, również jak i u nas w Galicyji od Tatr aż do Czarnohory wzdłuż lasów karpackich nie brak go. We wschodniej części kraju daleko jest pospolitszym, niż w zachodniej.

Niedźwiedź stósownie do swego uzębienia bierze pokarm mieszany. Za młodu przekłada żywność roślinną nad mięsną. Jé on borówki, maliny, owoce, za któremi włazi nawet na drzewa. Na łące pasie się trawą, a na polach jé zboże, szczególnie wyssa owies niedojrzały na pniu stojący, przyczém, przysiadszy na tylnych łapach, przedniemi zgarnia źdźbła i u pyska przytrzymuje. Lubi téż mrówcze jaja i mrówki, a rozrzucone mrowiska zdradzają bytność jego w knieji. Wyszukuje także z poza kory drzew spróchniałych chrząszcze, pędraki i inne owady, a nadewszystko przekłada miód pszczół leśnych, za któremi włazi do barci na drzewo.

W starości smakuje mu więcej pokarm mięsny, i

wtedy wychodzi nocą na hale i połoniny, gdzie bydlę się wypasa i porywa owce, bydlę i konie, które najbardziej lubi. Niedźwiędź ściga je do upadłego, a zmęczone długą pogonią zwierzęta napada z tyłu, albo też straszliwym rykiem je przestrasza. Wówczas pełne trwogi rzucają się one nieprzytomne ze stromych gór w przepaści, gdzie się zabijają i stają się pastwą silnego drapieżcy.

Spoczywając nad jeziorem na „Szybeni“ pod Czarną Horą, opowiadał mi przewodnik, wskazując na przeciwny pagór „Ruski Dił“, stanowiący stromy brzeg na 20 sążni głębokiego jeziora, w którym do dziś sterczą czerniałe wierchołki ściereków, zapadniętych z urwanym brzegiem, następujące zdarzenie: Przed kilkunastu laty, gdy był on leśniczym w tém miejscu, zdarzyło się, że niedźwiędź dopędziwszy uciekającego przed nim z połoniny byka, rzucił się mu na kark, a utopiwszy w skórze bydlęcia pazury, wpadł wraz z bykiem w głębokie jezioro, gdzie między ścierkami oba utonęły.

Niedźwiędź, będąc dość zuchwałym, zbliża się nocą za bydlęciem do staji, a nawet do zagród ludzkich. Zeszłego roku w Lipcu podczas méj bytności w tych okolicach, weszła niedźwiedzica do zagrody p. B., właściciela w Jaworniku, i porwała dwie sztuki bydlę. Niedźwiedzicę tę z dwoma piastunami widywali huculi często w tych stronach ku Burkutowi. Nawet w Książdworze pod Kołomyją pojawił się w r. 1876 niedźwiędź, i wpadł na pastwisko, a porwawszy bydlę, umknął z niém w las.

Brehm opisuje podobne zdarzenie. W pobliżu bagnistego zarośla pasły się konie, na które ukryty w gąszczy niedźwiędź zwrócił swe łagodne oko, potem wychylił się, i ostrożnie zakradał się do koni, które natychmiast spostrzegszy go, w szalonym pędzie poczęły uciekać, a w ślad za nimi biegł niedźwiędź. Wkrótce dopadł jednego i uderzywszy łapą po krzyżach, obalił go na ziemię i rozdarł mu pierś. Widząc



wszakże, iż drugi koń uciekający utyka na nogę, po-  
pędził za nim, zostawiwszy swą zdobycz, a gdy go  
doścignął, jedném uderzeniem powalił na ziemię. Pod-  
czas téj sceny konie rżały przeraźliwie, a niedźwiędź  
groźnie ryczał. *Gazeta myśliwska* podaje, iż nie-  
dźwiędź wspina się na grzbiet konia jak jeździec, i przed-  
nią łapą uderza w kark. Koń przerażony ucieka,  
niedźwiędź trzyma się jedną łapą konia, drugą chwyta  
drzew w celu wstrzymania szalonego pędu. A gdy mu  
się to uda, rozdziéra pazurami konia.

Niedźwiędź je także ryby, za któremi wchodzi w  
rzekę, i odgryza im głowę. Interesującym jest ten po-  
łów. Skoro bowiem niedźwiędź spostrzeże plusk rybi,  
sadowi się na brzegu. Jedną łapę przednią zanurza  
w wodzie, i chwyta za kamień, pod którym, zdaniem  
jego, schowała się ryba (tak chowa się pstrąg), drugą  
czémprędzej przykrywa i wyrzuca kamień na brzeg,  
śledząc oczyma, czy nie poruszy się szczęśliwie schwy-  
tana zdobycz. Jeśli złapie rybę, odgryza jój głowę,  
jeśli zaś połów mu się nie uda, gniewném potrząsa-  
niem głowy i mrużeniem okazuje niezadowolenie.

Niedźwiędź jest zmyślny, a chociaż wydaje się  
powolny, to jednak w niebezpieczeństwie lub rozdra-  
żniony wpada w szal i staje się okrutnym. Przy ło-  
wach niedźwiędź porwawszy myśliwego, jeśli go od razu  
nie powali na ziemię, to zdziéra mu pazurami skórę z  
ciała, jak tego przykłady znachodzimy w opisie polo-  
wania na niedźwiedzia w Dorze i opisach o własnych  
przygodach K. hr. Wodzickiego. Obydwa opisy znaj-  
dują się w *Lowcu*.

Ze zdobyczy swój zjada niedźwiędź na raz wiele,  
resztę pozostawia na potém. Jest zresztą zwierzęciem  
śmiałym, a ufny w swą siłę podejmuje walkę otwartą.  
Człowieka jednak w zwyczajnym usposobieniu niedźwiędź  
się lęka i nie napada na niego bez powodu. Niejeden  
czytając, co pisze Steller o niedźwiedziu na Kam-  
czatce, nie dałby temu wiary, gdyby i u nas podobne

nie zdarzały się zajścia. Steiler powiada, że człowiek spotkawszy niedźwiedzia, który tam (w Kamczatce) ma być łagodniejszy niż gdzie indziej, przemawia do niego i upomina do zgody. Kobięty tutejsze, zbierające jagody, nie przerażają się wcale widokiem niedźwiedzia i zbliżają się ku niemu jedynie w celu odebrania jagód. Podobny przypadek, świadczący o roztropności niedźwiedzia przytoczę z naszych wschodnich stron. „Żona jednego z proboszczów okolicznych, pisze w roczniku tatrzańskim Dzieńdzielewicz, będąc dzieckiem, wyszła na połoniny, aby pobawić się z rówieśniczkami hucułkami. Zabawa przeszła w żywą radość, tak że rozhasana dziatwa ocknęła się dopiero wtedy, gdy niedźwiedź wyszedłszy z lasu, przysunął się do niej bardzo blisko. Radość zmieniła się nagle w okrzyk, i wszystko z pośpiechem wdrapało się na pobliskie drzewo. Mieszkaniec puszczy, udobruchany wesołością dzieci, poprzestał na nabawieniu ich strachu i zaczął się także bawić, ale po swojemu. Brał to gałęzie, to kamienie i ciskał nimi na drzewo, na którym skryły się dzieci. Że nie miał złych zamiarów, nie ulega wątpliwości, bo zręczny w łażeniu po drzewach, nie polazł na nie. Krzyk powstający za każdym rzuceniem musiał go bawić, gdyż dłuższy czas figle swe powtarzał. Nakoniec pomrukując, czy z zadowolenia, czy nieukontentowany, że dzieci nie zlażyły, odszedł do swych kryjówek.“

Niedźwiedź żyje długo. W niewoli żyły niedźwiedzie już lat 50, a niedźwiedzice w 31 roku mięwały młode. Maj i początek Czerwca jest u niedźwiedzi zwykłym czasem ruji, a w Styczniu rodzą się młode niedźwiadki, których jest zwykle dwoje. Niedźwiadki, zwane też piastunami, są z początku wielkości szczura i ślepe przez 4 tygodnie. Matka starannie ogrzewa je swym ciałem i karmi mlekiem do 6 miesięcy. W tym też czasie są one bardzo zabawne i do różnych igraszek skłonne.

Matka je wodzi ze sobą, uczy szukać żeru i tak



je utrzymuje przy sobie do roku. W drugim roku, przybierając naturę starych, stają się niedźwiadki złośliwymi i napadają słabsze od siebie zwierzęta. Z wiekiem stają się coraz niezgrabniejszymi, a drapieżność i żarłoczność z każdym dniem u nich wzrastają.

Niedźwiedzie można oswajać, a z młodem jest to nawet rzeczą łatwą. Dają się one wyuczyć różnych sztuczek, a także tańca przy odgłosie muzyki. Tém trudnili się dawniej chłopci z Litwy i Rusi (skomorochami ich zwano), a obecnie jeszcze chłopci wołoscy bawią po miasteczkach gawieź uliczną tańczącym niedźwiedziem. Dowierzać niedźwiedziowi, choćby oswojonemu, nigdy nie można, i dlatego trzymają go na łańcuchu lub zakłada mu się na paszczę kaganiec.

Dawniej po dworach naszych panów często trzymano niedźwiedzie, bądź dzikie na łańcuchu, bądź też oswojone. Radziwiłł „Panie Kochanku“ wyjechał czterema niedźwiedziami w odwiedziny do króla Stanisława Augusta. Za przykład wielkiego oswojenia może służyć niedźwiędź „Myszek“ opisany przez A. Barthelisa w *Łowcu* z r. 1878. nr. 9.

Łowy na niedźwiedzie należą zawsze do niebezpiecznych dla myśliwych, chociaż spotkanie z dzikiem dla niektórych ma być niebezpieczniejsze. Ztąd też od dawna powstało u nas przysłowie: „Jak idziesz na niedźwiedzia, gotuj łóżko, a na dzika, mary.“ Szczególnie groźną jest niedźwiedzica, broniąca młodych. Polowanie na niedźwiedzie odbywa się albo z psami, albo z naganką lub sięciami i żelazami lub wreszcie w upatrzonym legowisku. W rozmaitych krajach rozmaite istnieją sposoby u ludu polowania na niedźwiedzie. Inne są np. w Uralu, inne u Kamezadalów i Laponczyków, a odmienne u nas. O tych wszakże wspominałem już powyżej. Że łowy dawniej były u nas sławne, wiemy to bądź z tradycyi bądź z opisów. Łowiectwo było dla młodych wstępną szkołą do bohaterских czynów, a dla starszych szlachetną rozrywką. To też oddawna jest

myśliwstwo jednym z głównych odcieniów życia naszego wiejskiego. Co do sposobów i uwag dotyczących się łowów na niedźwiedzia, odsyłam ciekawych czytelników do *Łowca*. Cenne znajdują się w tym względzie tam artykuły jak:

a) A Barthelsa: O niedźwiedziach na Litwie, o Polesiu, Poleszukach i polowaniu r. 1878 str. 138—153.

b) Polowanie na niedźwiedzie w Karpatach przez K. hr. Wodzickiego r. 1879 nr. 5.

c) Opis niedźwiedzi (głównie według Brehma, Łozińskiego).

d) Myśliwstwo z XII. wieku w Polsce, opisane w powieści Kraszewskiego p. t. „Bracia zmartwychwstańcy,” podane też w *Łowcu*.

e) Łowy w Polsce, do XVII. wieku przez W. A. Maciejowskiego.

f) Wspomnienie K. W. Wójcickiego o Niedźwiedniku.

g) Rok myśliwca, przez W. Pola.

Półów na niedźwiedzie nietylko wyrabia w myśliwym siłę, odwagę i zimną krew, której mu zawsze tak wiele potrzeba, lecz przynosi jeszcze tę korzyść, iż wybijając drapieżnego rabusia, ochraniaemy pożyteczne zwierzęta, które stają się pastwą nienasyconej żarłoczności. Także i bezpośredni mamy z niedźwiedzia pożytek. Futro niedźwiedzia płaci się w handlu 12—30 talarów, a cena zawisała od wielkości skóry i barwy włosów. Futro czarne jest najdroższe. Huculi sprzedają skórę niedźwiedzia od 8—20 złr. Mięso niedźwiedzie da się jeść, łapy niedźwiedzia uchodzą za przysmak, a tłuszczu używa lud na swe leki domowe.

Nakoniec wspomnieć muszę, że niedźwiedź zakłada sobie na zimę zwykle w Grudniu pod pniami lub w debrach i jaskiniach leże, zwane gawrą, i zapada w głęboki sen. Samica zalega wcześniej od samca, niekiedy już w Listopadzie. Podczas snu nie przyjmuje on pokarmu; tylko w czasie odwilży szuka, według Breh-



ma, wody do picia. A i Pol pisze, „że w Styczniu nie wytropisz niedźwiedzia, bo w mateczniku lub w odstepie zawalnych lasów siedzi on w swojej gawrze, od której dwie tylko krótkie, wydeptane prowadzą ścieżki: jedna do wody, druga na bok.“

Podobnie jak nietopérze, borsuki i inne zwierzęta, zapadające na sen zimowy, żyją podczas snu nagromadzonym tłuszczem swego ciała, tak téż i niedźwiedź odżywiając się przez 2—3 miesiące a czasem i dłużej własnym tłuszczem — nie dziw — że wychodzi z leży z końcem Marca lub w Kwietniu wychudły i nędzny, z nową u podeszwy nóg skórą, która w Lutym mu się odnawia. Zlizując zaś starą, dał powód do mówienia, że ssie swe palce. Chociaż w Lutym jeszcze niedźwiedź leży w swój gawrze, to jednak budzi się on w tym miesiącu ze snu twardego, który trwa przez 2 miesiące, u samca przez Grudzień i Styczeń. Nie daremnie więc podaje tradycya, że na Gromnicę rozwala niedźwiedź budę, jeżeli mróz tęgi, a poprawia i okrywa ją, jeżeli odwilż i łagodne powietrze. Interesującym dla leży zimowej niedźwiedzia jest opis polowania podany w *Łowcu* przez W. Rowlanda, nadleśniczego w Arwie.

Dnia 3go Lutego r. 1878go zeszedł się gajowy lasów arwańskich w Węgrzech, Hnilica, w skalistój dolinie gór Tatrów przypadkiem z dwoma strażnikami lasów sąsiednich, braćmi Giermkami. Jeden z Giermków podał myśl udania się wspólnego do niedalekiej skalistój jaskini, w której przed trzema laty w porze snu zimowego ogromny niedźwiedź był zabity. Po dłuższej naradzie puszczone się wreszcie w drogę i po trzechgodzinnym pochodzie przybyli wreszcie w pobliże znanój jaskini.

Opodal jaskini wstrzymano się przez chwilę dla odpoczynku, posilenia się i dla ułożenia pewnego planu i świeżego nabicia strzelb kulami i siekańcami. Tak uzbrojona trójka ruszyła dalej, a będąc u celu wypra-

wy, spostrzegła, iż do jaskini wyniesionej na 4—5 sążni po nad poziom, prowadzi wzdłuż prostopadłej, skalistej ściany ścieżeczka wielce niebezpieczna, 1—2 stóp szeroka, a prawie 10 sążni długa, wtedy poczeli nasi zuchwali myśliwi chwiać się w powziętém postanowieniu. Gdy młodszy Giermek jednak objawił chęć przekonania się naocznego, czyli jaskinia jest opróżnioną lub zamieszkałą, zachęcono go do tego przedsięwzięcia i Giermek dostawszy się po groźnej ścieżce do otworu jaskini, z przerażeniem niemałym dostrzegł, iż śnieg przed nią prawie stajał, prawdopodobnie od ciepłych wyziewów, wychodzących z jaskini od jej mieszkańców. Spostrzeżenia tego udzielił swoim towarzyszom, dodał wszakże, że jaskinia zdaje mu się być opróżnioną. Zachęcony tą uwagą starszy Giermek wdrapał się również aż do otworu i obaj stanęli gotowi do strzału, a starszy Giermek wsunął jeszcze długą tykę do ciemnej jaskini, grzebiąc dokoła. Wnet odezwały się z niej mruczenie starego niedźwiedzia i pisk młodych. Niedźwiedzica chcąc się dowiedzieć o przyczynie tego zaniepokojenia, wychyliła głowę z jaskini, a myśliwi przesłali jej na powitanie z 4 luf grad kul i siekańców.

W téj chwili chwyciła rozgniewana niedźwiedzica jednego z Giermków rękę w swoją paszczę, lecz jakimś szczęśliwym wypadkiem udało mu się wyrwać ją, w dwóch miejscach od kłów ciężko skalęczoną, tak iż w paszczy srogiego zwierzęcia strzelba pozostała. Rozjuszona wypadła z jamy i rzuciła się nie ścieżką, lecz na łeb na szyję w śnieg głęboki tuż obok przerażonego Hnilicy. Przez chwilę cały przód niedźwiedzicy był w śnieg zagrzebany. Hnilica, strachem jakoby gromem porażony, nie użył ognistej broni, dopiero gdy się ze śniegu wydobyła i całym połciem mu się okazała, posłał jej z obu luf kule, jak się zdawało, bezskutecznie, niedźwiedź bowiem z groźnym mrukiem, farbując jednak, poczwałował i zniknął. Gajowi, przerażeni całym tém zdarzeniem, nie mogli z powodu głę-



bokiego śniegu wśród stromych, skalistych gór iść daleko za postrzelonym zwierzem, postanowili przeto wybrać z jaskini młode niedźwiadki i zabrać je z sobą do domu, czego też szczęśliwie dokonali. Dwa niedźwiadki były jeszcze ślepe i mogły mieć zaledwie trzy tygodnie. Przychodzą one na świat zadziwiająco małe. Mój samczyk (kupiłem go bowiem od gajowych, drugiego zaś szef stacyi kolejowej w Kraloven) nie przechodził wielkości czérot tygodniowego szczenięcia, lecz czaszka i łapy o wiele były szersze. Barwy był kasztanowato-brunatnej, a na szyi miał obwódkę, u grzbie-tu i piersi niezupełnie zamkniętą i rozszerzającą się w kształcie dwóch trójkątów. Wielkich nadziei misio, którego natychmiast flaszeczką z rozcieńczoném mlékiem krowiém karmiono, urósł znacznie i ważył 20. Lutego już 2.07 kłgr., długość jego ciała wynosiła 36 centim. Przejrzał 16. Lutego, a 22go pokazał się pierwszy kieł.

*Gazeta Nar.*

*L. Wajgiel.*

*Koniec Części drugiej.*



## SPIS RZECZY.

	<i>Strona.</i>
Przygoda wśród polowania na kaczki . . . . .	3
Jeden wieczór na Saharze . . . . .	12
Świat zwierzęcy Oceanu indyjskiego . . . . .	29
Przeprawa Nordenskjölda przez Cieśninę Beringską w r. 1879.	46
Beduin . . . . .	56
O wyspach koralowych . . . . .	60
Pożar parowca . . . . .	66
Z życia plantatorów . . . . .	69
O starożytnym Rzymie . . . . .	74
Lat temu 2400. (Dzień z życia króla Daryusza). . . . .	81
Nasz niedźwiędź . . . . .	104

---

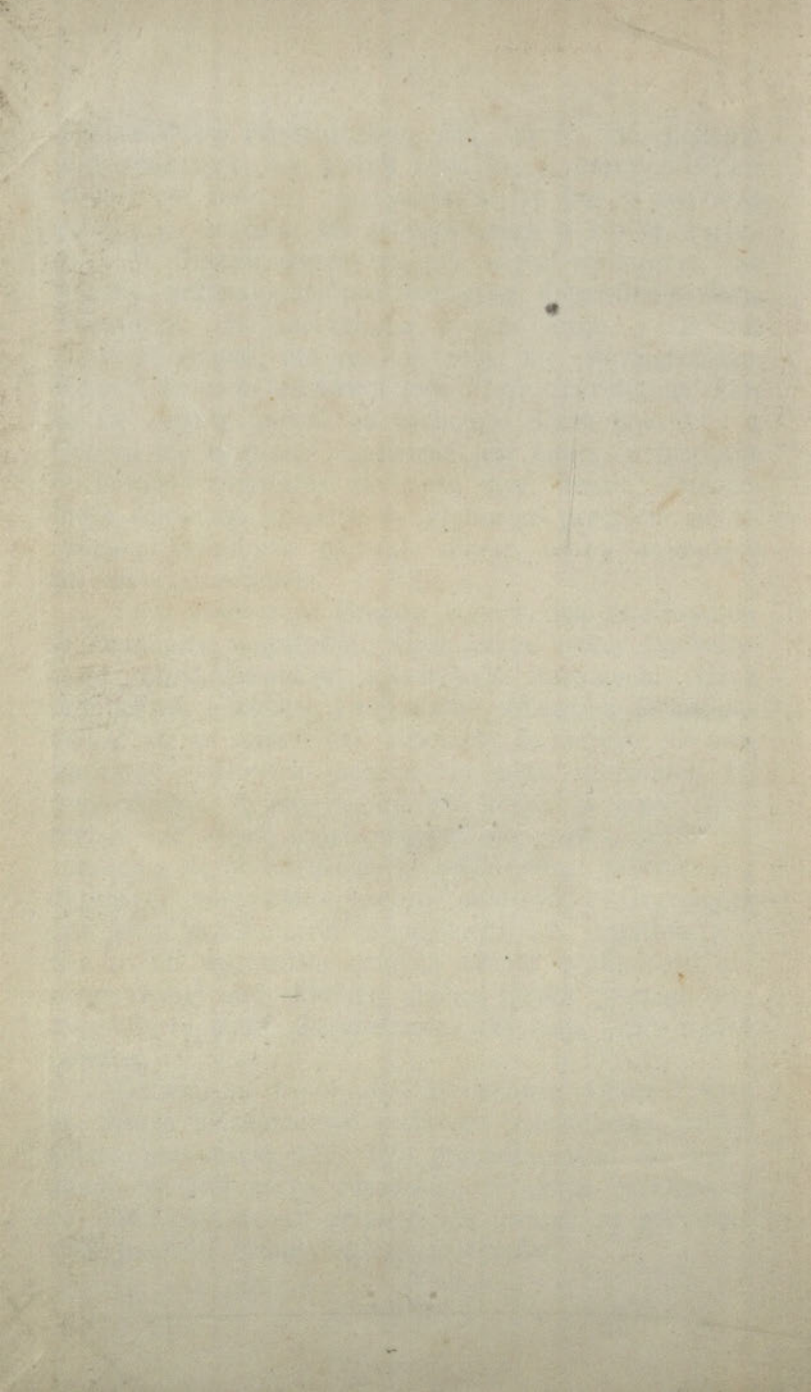


## Polecamy następujące dziełka:

43. *Bratobójca*. Powieść moralna z czasów wielkorządnictwa Alby w Niderlandach. Osnuła na prawdziwym zdarzeniu. Napisała przez ks. Heyduckiego, kapelana w Weesen w Szwajcaryi. 50
44. *Dzieci wioski*. Powieść ludowa przez Weronikę Prussni-gową z Krakowa . . . . . 50
45. *Materyały do Dziejów Upadku Unii* w dyecezyi Chełmskiej . . . . . 50
46. *Polskie czasy, Błogie czasy*. Cztery obrazy z końca przeszłego wieku. Napisane dla Patriotów Polskich, przez Fr. Xaw. T. . . . . 75
47. *Opis Zaporoża i Ukrajiny*, oraz prawdziwe powieści o *Wernyhorze i Mazepie*. Napisano przez Białyniaka . . 100
48. *Matka Artysty*. Powieść przez Aniełę Milewską. . 150
49. *Posiedzenia Komisyi Ortograficznej Poznańskiej*, wy-branej przez Wiec Ortograficzny na dniu 7mym Czerwca 1870. 500
50. *Polacy na Syberyi i Powstanie nad Bajkałem*. Spi-sane przez Naoczno-go Świadka . . . . . 100
51. *Żywot Mieczysława Hrab. Halki Ledóchowskiego* Rymuskiego Św. Kościoła Kardynała i Królestwa Polskiego Pymasa, Legata, Arcybiskupa itd. itd. według wskazówek dwóch kapłanów Archidyecezyi Poznańskiej, jednego zmarłego a drugiego wygnanego, sporządzony. . . . . 125
52. *Polowanie w górach Karpackich*, napisane przez K. R. 25
53. *Pięć obrazów z życia Szymona Konarskiego* jako część dla Jego pamięci . . . . . 25
54. *Z Poznania do Dawos* . . . . . 25
55. *Zygmunt*. Sześć obrazów dramatycznych przez Milanę. 100
56. *Trzy obrazy w kościele Zdzeskim pod Borkiem*. Napisał ks. Aleksander Brandowski, proboszcz borecki . . 10
57. *Pochodnie Nerona* w oczach Czytelnika *Warty* . . 25
58. *Kasper Pokraka czyli Sowizdrzał Polski*. Zbiór róż-nych zabawnych przygód. Napisał Fr. Xaw. Tuczyński. . 75
59. *Podniesienie Kości świętego Stanisława Szczepanow-skiego* roku 1253. . . . . 25
60. *Baron Maciej Borkowicz*, umorzony w roku 1358, wojewoda Poznański. Napisał ks. Aleksander Brandowski, proboszcz borecki . . . . . 75
61. *Bolesław Śmiały* a święty Stanisław Szczepanowski. Wspomnienie historyczno-religijne. . . . . 50
62. *Obrazki Geograficzne* tak polskie jak i obce. Część I. 75
63. *Straszna Tajemnica*. Powieść p. Delpota, osnuła na tle najnowszych spekulacji bankierskich. Z francuzkiego oryginału przetłómaczona przez hr. z C. M....ą. Część I. i II, razem 400

64. <i>Kilka Wstępnych artykułów Warty z r. 1878 i 1879</i> , oraz mowa hr. Edw. Raczyńskiego na koronacyji w Królewcu w roku 1840. . . . .	Serya pierwsza . . . . .	75
	Serya druga . . . . .	75
	Serya trzecia . . . . .	100
65. <i>Tatry i Podhalanie</i> . . . . .		25
66. <i>Nalęcze a Grzymalici</i> . Powieść historyczna z końca czternastego wieku. Napisał Kaźmiierz..... . . . .		75
67. <i>Kłeska nasza w Berlinie</i> . Kilka słów do Panów Posłów i wszystkich zwolenników utylitarnego parlamentaryzmu. . . . .		10
68. <i>Kazanie</i> na uroczystość ósmsetnej rocznicy śmierci Świętego Stanisława Biskupa przez ks. Celestyna Adamskiego Karmelity. . . . .		10
69. <i>Prawno polityczny Rozbiór wypadków wiedeńskich</i> . Rzecz dla posłów polskich i dziennikarzy. . . . .		10
70. <i>Śpiewnik towarzyski</i> . Tomik I. . . . .		50
71. <i>Nauki i Rozrywki z pola astronomii, fizyki, chemii i historii naturalnej</i> . Część I. . . . .		75
72. <i>Olitypa</i> czyli Ptak Stepowy. Opowiadanie z czasów wzajemnych walk pomiędzy Indyjanami Ameryki Północnej. Napisał Fr. Xaw. Tuczyński. . . . .		75
73. <i>Hrabia Jan Bniński</i> , nieprzyjaciel wiary św. w parafii boreckiej od roku 1579—1591. Napisał ks. Aleksander Brandowski, proboszcz borecki . . . . .		50
74. <i>Goście Krakowscy i Kilka uwag nad Jubileuszem Kraszewskiego</i> . . . . .		150
75. <i>Obrazy ziem, ludów i okolic</i> . Podług różnych autorów opracował Fr. Xaw. Tuczyński . . . . .		75
76. <i>Pierwsze początki czytania i języka francuzkiego</i> dla użytku dzieci polskich. Drugie wydanie. Poprawione i znacznie powiększone . . . . .		150
77. <i>Losy Psów</i> . Poemat bajeczny z czasów Bolesława Krzywoustego. . . . .		10
78. <i>Listy z Krakowa i Tatrów</i> . . . . .		50
79. <i>Oświata</i> , pismo sześciotygodniowe, poświęcone domowemu i szkolnemu wychowaniu. Komplet, składający się z 12. zeszytów, za fen. 6,00. Zeszyty 2gi do 12go, zawierające wszystko co w tym czasopiśmie tyczy się sprawy pisosowni, razem za . . . . .		300
90. <i>Kolébka, Dom i Grób Jana Kochanowskiego</i> czyli Sycyna, Czarnylas i Zwoleń jaki dziś przedstawiają widok? Napisał Dr. Jan Rymarkiewicz, Profesor . . . . .		75
91. <i>Hiszpanka</i> , czyli żona skazanego na śmierć. Powieść p. p. W. Rozdr. . . . .		60





~~367~~

M 20

~~480~~

14.40

my 6610



126.13